

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



MARIA SZYSZKOWSKA

stwarzanie siebie

Copyright by Maria Szyszkowska

**WYDAWNICTWO TOWER PRESS
GDAŃSK 2001**

Od autora

Niezgoda na rezygnację z własnego ja, niezgoda na to, by poddawać się rzeczywistości, zamiast ją przetwarzać – to myśl przewodnia tej książki. Zawiera ona rozważania z dziedziny, którą kiedyś nazwałam, powołując do życia, filozofią codzienności.

Z filozofii powinno się czerpać wartości, które nadają naszemu istnieniu wyższy wymiar i pomagają tworzyć samego siebie zgodnie z indywidualnymi właściwościami.

Szerzące się obecnie postawy konformistyczne i oportunistyczne wymagają przeciwwagi; podkreślenia wartości, którą jest wewnętrzna prawda jednostki. Ona właśnie powinna nadawać sens naszemu istnieniu i stanowić dla nas oparcie.

Niepokój

Często towarzyszy nam stan niepokoju wewnętrznego, który nie zawsze ma źródło w zewnętrznych okolicznościach. Pragnęlibyśmy się go pozbyć. Staramy się przynajmniej ten stan tłumić. Udajemy przed sobą, że nie dosięga nas niepokój. Udajemy, że wszystko w naszym życiu przebiega prawidłowo. Wolimy nie zagłębiać się we własne ja.

Niepokój przejawia się wielorako. Napięcie w czasie spotkania z kimś, kogo się ceni, wynikające z niepewności, czy zyskamy aprobatę, bądź też, niepokój wynikający z braku zaufania we własne siły, czy z chęci rozpoczęcia życia na nowo, z dala od dotychczasowych uwikłań.

Z różnymi postaciami niepokoju mamy do czynienia na co dzień. Jako przykłady zdarzające się od czasu do czasu każdemu, można wymienić sny czy stan związany z koniecznością przeprowadzenia jakiejś rozmowy, od której zależą nasze istotne sprawy.

Uczucie niepokoju przejawia się w różnych poziomach życia wewnętrznego. Bywa elementem przyspieszającym nasze działania, o ile potrafimy przetworzyć go w sobie. Niepokój o los świata czy zaniepokojenie świadomością własnych ograniczeń prowadzą zazwyczaj do rozwoju wewnętrznego. Inny charakter ma niepokój dotyczący sfery życia materialnego czy utraty pozycji w hierarchii społecznej.

Dręczą nas niepokoje, których można się pozbyć. Dają się one wyrazić słowami: co pomyśla o mnie otaczający ludzie? Ten typ niepokoju prowokuje, by nie wyłamywać się z obowiązujących w danym otoczeniu poglądów i sposobów istnienia. Presja obyczajowa wywołuje nieraz dokuczliwe poczucie winy oraz niepokoju. Niejeden rezygnuje z wyborów, których pragnąłby dokonać, ażeby tylko zadowolić swoje otoczenie.

Niepokoimy się również, gdy jesteśmy zadowoleni z życia. Bywa, że ten radosny czas zostaje zaciemniony przez niepokój utraty tego, co czyni nas szczęśliwymi. Każdy przeżywa swój własny rodzaj niepokoju. Wiąże się on z poczuciem odpowiedzialności wobec siebie i innych ludzi. Najbardziej dręczy mnie niepokój w chwilach szczęścia, bo czuję ich ulotność, z którą się nie godzę.

Musimy wciąż dokonywać wyborów. Stajemy wobec różnych możliwości i opowiadając się za jednym z rozwiązań, powinniśmy tworzyć zarazem wzór postępowania. Powinniśmy zastanawiać się, czy postępujemy zgodnie z wewnętrznym nakazem słuszności i czy chcielibyśmy, ażeby wszyscy w podobnej sytuacji tak postępowali, jak zdecydowaliśmy? W tym niepokoju zawiera się poczucie osamotnienia, bo są wybory, w których nikt nie może nam pomóc.

Twórców dręczy niepokój, czy to, co powołują do istnienia ujrzy światło dzienne, a następnie zostanie docenione. Ma on obiektywne uzasadnienie, bowiem historia dziejów kultury zna wiele wypadków doceniania dopiero po śmierci, a krytyki wobec żywych są i były na ogół nietolerancyjne. Na przykład, Brzozowski nie uznawał pisarstwa Weysenhoffa, ten ostatni Wyspiańskiego, Jorge Luis Borges i Gombrowicz wzajemnie się nie znosili. Śmierć uwalnia od niepokoju. Odnosi się to nie tylko do twórców.

W czasie Wigilii zwykliśmy zostawiać, zgodnie z naszą tradycją, miejsce przy stole dla Nieznajomego. Ta postawa otwartości i życzliwości wobec tego, kto może nadejść w tym niezwykłym dniu, nie ma jednakże głębiej ugruntowanej podstawy. Nasz charakter narodowy na co dzień przejawia się, niestety, w niechęci do uznawania wartości i talentów współrodaków, którzy często muszą poszukiwać uznania u obcych po to, by dostrzeżono ich

w ojczyźnie. Wywołuje to wzmożony stan niepokoju twórców. Można by wymienić wiele nazwisk śpiewaków operowych, tancerzy, uczonych, pisarzy i przedstawicieli innych rodzajów twórczości, którzy nie mogli znaleźć aprobaty u „swoich”.

Jesteśmy świadomi wielu niepokojących zjawisk, leżących w sferze zewnętrznej, które, zdawałoby się, można by usunąć z naszej planety, zwłaszcza że niemal wszyscy są im przeciwni. A jednak uparcie towarzyszą ludzkości. Tak jest z obojętnością, a nawet okrucieństwem wobec ludzi sędziwych. Zagadnienie to dotyczy ukrytego niepokoju każdego z nas. Warto wzmocnić ten niepokój na tyle, aby wzmógł działania. Tylko poprzez niepokój i pobudzone przez niego wyobrażenie naszego losu w przyszłości możemy doprowadzić do zmiany w podejściu do starszego pokolenia.

Tkwią w nas pewne obyczaje praocjów, jakkolwiek w uszlachetnionej postaci. Nieczynienie im zadość rodzi poczucie winy i głęboki niepokój. Wracam często myślą do przykładu uznanego za drażliwy. W 1972 roku samolot lecący nad Andami uległ katastrofie. Kilkunastu pasażerów ocalało.

Utrzymywali się przy życiu tylko dzięki temu, że zjadali ciała martwych towarzyszy podróży. Żyją oni obecnie pod brzemieniem tego zdarzenia. Nie odzyskali wewnętrznego spokoju. Sprawa stała się głośna. Nakręcony został film fabularny o tamtych dniach w Andach. Opinia publiczna wywiera ciśnienie, które niepokojem odbija się na ich psychice i kolejach życia. A czyż my – bywa – nie „zjadamy” się często nawzajem?

Niepokój ma stałe źródło w nieszczerości, w braku zgodności między tym, co czynimy a tym, czego pragnie nasza natura. Musimy wszak nieustannie przystosowywać się do otoczenia, a w tym do obyczajów. W rezultacie traktujemy innych jako negatyw siebie samego; przypisujemy im, na przykład, te motywy czy popędy, które tłumimy w sobie (właściwa nam jest tendencja do nadawania bardziej wzniosłych pobudek swym działaniom niż te faktyczne). Być może ta projekcja zmniejsza wewnętrzny niepokój i pozwala na zwiększone poczucie własnej wartości? Drażni mnie nagminność tej postawy.

Najgłębszym dręczącym mnie niepokojem jest lęk przed osamotnieniem. Również tym fizycznym; nie umiałabym mieszkać sama. Wydaje mi się, że pensjonat – taki z powieści Agaty Christie – zapewnia harmonijne powiązanie wspólnoty z innymi i daje poczucie koniecznego dystansu. W Polsce odnalazłam taki pensjonat (i przeżyłam w nim oczekiwany nastrój) w Nałęczowie, w „Ewelinie”.

Osamotnienie

Cierpienie zrodzone przez osamotnienie dotyczy każdego. Nie tylko opuszczonych przez dzieci sędziwych rodziców, ale również osoby kilkunastoletnie. Trudno się uporać z takim stanem psychicznym, zwłaszcza wtedy, gdy wywołuje go śmierć kogoś bliskiego. Również i ci, którzy bywają otoczeni przez innych i zaangażowani w działania dla celów wspólnych, ogólnych, odczuwają niejednokrotnie osamotnienie. Ma ono rozmaite źródła.

Można czuć osamotnienie, gdy odbiega się w swoich poglądach od tego, co wokół uchodzi za słuszne i prawdziwe. Ukrywamy wtedy poglądy własne, by nie narazić się na śmieszność, czy brak aprobaty. Osamotnionymi są często ludzie o wysoko rozbudowanej wrażliwości i uczuciowości. Łatwo ich zranić. Nie spełnione oczekiwania w sferze relacji z innymi ludźmi rodzą dotkliwe poczucie obcości. Właśnie osamotnionym czuje się często ten, kto wyczulony jest na obłudę i na fałsz w odnoszeniu się człowieka do człowieka. Odczuwając nieszczerą pozę otoczenia, dostrzegając „maski” wkładane przez innych dla ukrycia własnego ja – wzmagają się osamotnienie po stronie osób otwartych, szczerych i bezbronych.

Również brak wzorów do naśladowania może rodzić stan osamotnienia, jeśli szukamy w swoim życiu drogi innej, niż ta powszechnie wybierana. Osamotnienie wiąże się też z przeżywaniem czyjejś niewdzięczności, zwłaszcza jeśli poświęcając się dla kogoś uzyskujemy taki rezultat. Agresja, zawiść, niechęć to też powody osamotnienia, mające źródło w nieprzychylnym stosunku do nas innych ludzi. W dodatku czyjaś do nas niechęć bywa często niezawiniona; zaczyna się nieraz wcześniej, aniżeli nasze jakiegokolwiek czyny, które mogłyby sprowokować takie skutki.

Osamotnienie odczuwa się też w kręgu rodzinnym. Ale ten rodzaj osamotnienia często spycha się w zakamarki świadomości, ponieważ od najwcześniejszych lat zaszczepia się nam kult życia rodzinnego. A więc osamotnienie może mieć źródło w rozbieżności między stanem, który faktycznie nam doskwiera a stanem wyobrażonym i oczekiwanym.

Do osamotnienia doprowadza nas nieraz otoczenie swoją nadmierną gadatliwością. Niewielu ludzi umie słuchać innych, natomiast chętnie obdarza napotkanych opisem własnych problemów i nieszczęść. W rezultacie, współczując zwierając się nam, czujemy się jeszcze bardziej osamotnieni w swoich kłopotach i osłabieni współcierpieniem.

Odczuwam, wyznaję, osamotnienie w związku z niepewnością, która rodzi się u mnie w zetknięciu z niektórymi osobami, które darzę szczerą sympatią. Otóż często nie wiem, czy wypowiedane słowa i zapewnienia zwiastują deklarowane działania. Oczywiście, jest jeszcze gorzej, gdy nie jest się pewnym zgodności słów i myśli. Osoby wewnętrznie zakłamanie odsuwam z kręgu bliskich mi ludzi. Bezwzględnością zgodnością słów, myśli i czynów odznaczał się Julian Aleksandrowicz, którego przyjaźń odegrała w moim życiu istotną rolę. Taką samą żelazną konsekwencją odznacza się mecenas Janusz Anuszewicz.

Osamotnienie wiąże się z trudnością spotkania kogoś o podobnych do nas reakcjach uczuciowych i wrażliwości.

Uczucie „nieprzenikalności” z drugim człowiekiem stanowi przykrą barierę. Łatwiej znaleźć kogoś, kto wyznawałby podobne do nas poglądy, ale to jeszcze za mało, aby zniwelować stan osamotnienia.

Wczuwać się w stan psychiczny innego człowieka i rozumieć go można tym łatwiej, im bogatszy ma się zapas własnych doświadczeń i przemyśleń. Duża wrażliwość oraz intuicja pełnią tu istotną rolę. Zapewne potrzebna jest też świeżość odczuwania. Empatia, na którą

składa się wgląd emocjonalno-intelektualny w drugiego człowieka, to nie tylko rodzaj pełniejszego poznawania ludzi, ale również samego siebie.

Nasz stosunek do innych ludzi można objąć skalą od egoizmu oraz egocentryzmu do empatii. Ta ostatnia jest czymś więcej niż życzliwością i sympatią. Polega nie tylko na umiejętności zrozumienia kogoś, lecz na wniknięciu (w sposób nie oceniający) w wewnętrzny świat rozmówcy. Empatia prowadzi do uświadomienia tego, że współodczuwanie bywa istotniejsze dla porozumienia się z kimś innym od współrozumienia. Zygmunt Krasiński podkreślał, że stanem upragnionym jest wzajemna identyfikacja siebie z innym człowiekiem.

Do empatii są zdolne jednostki o wysokim stopniu rozwoju uczuciowego, jak również obdarzone dużą wrażliwością i wyobraźnią. Empatia ułatwia porozumienie, bowiem jest kontaktem wzbogaconym o całą pozasłowność. Kazimierz Dąbrowski jako jeden z pierwszych w Polsce przybliżył zagadnienie empatii. Jego zdaniem empatia zakłada próbę rozumienia i odczuwania wszystkiego, co ludzkie, a więc rozumienia i odczuwania innego człowieka w jego doznaniach cierpienia, radości, smutku. Uczucie empatii rozwija się przede wszystkim w jednostkach odznaczających się wzmożoną pobudliwością emocjonalną i wyobrażeniową, bogatym życiem wewnętrznym.

Empatia wiąże się ze świadomością, że uczucia innych ludzi różnią się od naszych i że należy traktować bliźnich z szacunkiem dla ich indywidualnej odmienności. Budując w sobie postawę empatyczną w stosunku do innych, zyskuje się istnienie dalekie od stagnacji i stereotypowości. Dzięki empatii istnieje się w twórczy sposób.

Źródłem osamotnienia bywa też brak odwagi prowadzący do poddania się poglądom i dominującej obyczajowości. Zrezygnowanie z własnych zamierzeń prowadzi do pozornego przystosowania się i poczucia wyobcowania. Takie pozorne przystosowanie towarzyszy w Polsce, na przykład, homoseksualistom, ponieważ ten rodzaj miłości bywa uznawany przez większość za nieprawidłowy czy wręcz za chorobliwy.

Fałszywa hierarchia wartości, stawiająca wartości materialne na pierwszym miejscu, też prowadzi niejednego człowieka do stanu osamotnienia. Ktoś wykonujący pracę nie przynoszącą mu pieniędzy, bywa w świetle wspomnianej hierarchii wartości uważany za śmiesznego, czy dziwaczego.

Osamotniony czuje się człowiek w sytuacjach krańcowych. Choroba i śmierć są stanami, w których nawet czuła, nieustanna obecność bliskich nie uwalnia, poddanego tym próbom, od poczucia osamotnienia. Od lat duże wrażenie wywiera na mnie wyznanie Simone de Beauvoire: „Moim największym pragnieniem było umrzeć razem z kimś kochanym; ale choćbyśmy leżeli trup przy trupie, będzie to tylko iluzja: między niczym i niczym nie ma więzi”. Ten lęk przed osamotnieniem, związany z wizją samotnej śmierci, prześladowuje mnie od dzieciństwa, od momentu gdy pierwszy raz w życiu byłam na pogrzebie kogoś, z dalszej zresztą rodziny.

Nie lubię być sama ani w tym, co przeżywam, ani w swoich działaniach, ani nawet sama w mieszkaniu. Ale żadnym wysiłkiem nie można doprowadzić do tego, by czas umierania współdzielić z drugim człowiekiem. Ten lęk przed śmiercią, przed nieznanym, ta groza, której wysiłki nauk nie mogą umniejszyć, od wieków staje się inspiracją twórczych działań.

Osamotnienie ludzi w wieku sędziwym często jest następstwem egoizmu dzieci, wykorzystujących ich, dopóki rodzice byli silni i zdrowi. Bywa też skutkiem poddawania się obowiązującym stereotypom obyczajowym, które pozwalają jedynie, w ściśle określonych granicach wieku, na układanie sobie życia z drugim człowiekiem. Pokoleniu wchodzącemu w życie wydaje się zazwyczaj, że nigdy się nie zestarzeje. Jest to rezultat braku wyobraźni.

Osamotnieni, ale już nie tak tragicznie, czujemy się nieraz bezradni w związku z poszukiwaniem prawdy.

Mianowicie ciśnie na nas wiele sprzecznych poglądów w rozmaitych działaniach, z polityką włącznie. Które z nich uznać za słuszne? I wreszcie – osamotnienie w związku z

poczuciem własnej niewiedzy w zetknięciu z potęgą przyrody. Znajomość rozlicznych teorii naukowych przybliży nas do poznania świata, ale jawi się on nam rozmaicie w perspektywie odmiennych poglądów. A jaki jest naprawdę? Jaki jest sam w sobie?

W sferze intelektualnej osamotnienie zaczyna się wtedy, gdy przewartoścujemy przekazywane nam poglądy na swój własny sposób, gdy nie chcemy poddać się bezwolnie temu, co ogół uznaje za słuszne i prawdziwe. Natomiast w sferze emocjonalno-wolitywnej, czyli w świecie uczuć, doznań i tak zwanej woli, zawsze jesteśmy osamotnieni, bo brak jest instytucji nauczających, jak rozwijać poziom naszych uczuć, czy doskonalić sztukę doznawania. Nie ma takich szkół, nie ma kursów. Mam tu na myśli sytuację w Europie. Jedynym rozwiązaniem osamotnienia w tej dziedzinie może być bądź uznanie jakiegoś autorytetu i naśladowanie go, bądź odwołanie się do jakiegoś zorganizowanego instytucjonalnie rodzaju wiary. Ale nie każdemu to odpowiada.

W poczuciu swojej kruchości, szukamy potwierdzenia prawdy własnych przemyśleń, doznań, uczuć, modelu życia u innych. Ta chęć aprobaty to ucieczka od osamotnienia. Labirynt równosilnych sądów jest trudniejszy do rozstrzygnięcia, jeśli brak nam oparcia w czyjejs przyjaźni. Rozpiętość możliwych punktów widzenia czyni nas często bezradnymi i osamotnionymi.

Jednym ze źródeł osamotnienia jest brak odwagi cywilnej, by głosić wyznawane przez siebie treści światopoglądowe. Udajemy często, z pobudek użytecznych, wiarę w inne wartości, czy też w inną ich hierarchię, niż to ma miejsce w rzeczywistości. Tłumimy w sobie prawdziwe przekonania. Stajemy się w ten sposób przeraźliwie osamotnieni, bowiem z nikim, zdarza się, nie dzielimy się treścią własnych poglądów.

Swoiste, właściwe tylko danemu człowiekowi doznawanie i przeżywanie świata sprawia, że pozostaje coś niewyrażalnego między człowiekiem a człowiekiem. Ten rodzaj przeżycia izolacji przewycięża miłość, która wyprowadza nas poza samych siebie. Właśnie szczególnie nieszczęśliwi są ci, którzy koncentrują się głównie na sobie, na własnych stanach psychicznych. Ten, kto jest ciekawy drugiego człowieka i umie wnikać w jego świat, czuje się dzięki temu mniej osamotniony.

Szczęście

Szczęście, to stan, do którego mogą nas doprowadzać różnorodne przeżycia. W poezji, na ogół, utożsamia się przeżycie szczęścia ze spełnioną miłością. Ta perspektywa ma znaczenie dla każdego człowieka. Szczęście może również przynosić odkrycie dokonane w laboratorium, udany spektakl teatralny, nieznany wcześniej smak potrawy, która nas całkowicie pochłania, rytm muzyki, pieszczota, czy – sięgając do tematów dyskretnie przemilczanych – miłość erotyczna.

Szczęściem trwałym, a więc niezależnym od zbiegu przypadków, od zewnętrznych okoliczności, od drugiego człowieka -jest przeżywanie samego faktu własnego istnienia. Stanowi ono źródło trwałego szczęścia. Zamiast zastanawiać się nad upływającym czasem, nad przemijaniem czy nad nieuchronnością śmierci i czyhającymi możliwymi chorobami sensowniej kierować uwagę ku temu, że istniejemy. Znakomity teatr Kantora zawierał swoiste widzenie problemów naszego istnienia. Ukazywał człowieka jako istotę jeszcze żywą, a więc widzianą w perspektywie nieodwołalnej katastrofy -śmierci.

Własne istnienie jest wartością niemożliwą do zastąpienia przez inną. Ono może więc być, przy odpowiednim nastawieniu, nieustannym źródłem szczęścia. Codziennie, gdy się budzę i myślę z przykrością o czekających mnie koniecznościach, w tym często o nadmiarze pracy, koryguję swoje odczucia refleksją, że przecież się obudziłam, że jeszcze żyję! Taka radość przynosi poczucie szczęścia.

Stefan Król, historyk, malarz, twórca religii życia, głosi słusznie, że każdy dzień życia to wielkie święto. Głosi bezwzględna pochwałę istnienia mimo wielu przeciwności, jakich zaznał w życiu, w tym doświadczeń obozowych. By potęgować przeżycie szczęścia, organizuje cztery razy w roku spotkania w swoim domu. Obchodzi na przełomie pór roku święta Życia, Miłości, Dobra i Przodków.

Szczęście zależy od naszego sposobu przeżywania tego, co nas otacza i dotyczy. Myślę, że powinno się nie tyle rozważać co to jest szczęście, ile raczej oddawać się przeżyciom szczęścia, bowiem każdy z nas upatruje szczęście w czymś innym, lub w kimś innym. Jest ono zindywidualizowane, uzależnione od cech właściwych danemu człowiekowi. Immanuel Kant, którego spośród filozofów cenię najwyżej, twierdził, że dążenie do szczęścia nie może być uznane za cel ludzkiego życia. Nie przeczy temu pragnienie każdego człowieka, aby być szczęśliwym.

Kruche staje się szczęście, gdy budujemy je na stosunku drugiego człowieka do nas. Co czynić bowiem, gdy ktoś odwróci się od nas, odejdzie? Jakże łatwo szczęście obraca się wtedy w rozpacz, w poczucie pustki i bezsensu własnego istnienia.

Moravia, pisarz włoski, zwrócił uwagę na sprawy płci jako na jeden z najbardziej pierwotnych i niezmiennych przejawów kontaktu z rzeczywistością. Różnice biologiczno-psychiczne kobiety i mężczyzny przynoszą odmienne rodzaje przeżywania świata i ustosunkowania się do niego. Mężczyźni poszukują idei, spraw, którym mogliby poświęcić swoje siły i uwagę. Kobiety, nie wnikając tu w powody, koncentrują się najczęściej na sprawach dnia codziennego. Toteż stan zależności od drugiego człowieka w doznawaniu szczęścia jest głębszy w świecie kobiecym, gdzie brak jest często w polu uwagi innej płaszczyzny niż rodzinna. Dla wielu mężczyzn szczęście w miłości splata się z działaniem, z

pozytywną mobilizacją ku urzeczywistnieniu jakiejś wartości.

Szczęście, to stany wartości, przenikające wewnątrz człowieka, ale tak silnej, że wywołującej stan integracji wewnętrznej, czyli zespolenia rozmaitych odcieni doznań wokół jednego odczucia. Pisałam już o tym, że poczucie istnienia biologicznego może dzięki intensywności doznań zmysłowych przynosić szczęście. Stan ten wyraża wiersz Czesława Tarnogórskiego, którego fragment przytoczę:

Taki wiatr dziś na niebie taki wiatr!

Ostatnie skaczą liście...

Takim rad – z czego nie wiem, takim rad,

W podmuchach, szumie, świcie...

Gombrowicz słusznie pisał, że lepiej się spalać, niż trupio, powoli się ostudzać. A więc intensyfikacja przeżyć, wykorzystywanie czasu, uleganie namiętnościom jako sile potęgującej doznania, przynosi szczęście. Pokarmem szczęścia jest też wyobraźnia, która nadaje koloryt zdarzeniom błahym i niedostatecznie pięknym. Nie mniejsze znaczenie ma nadzieja skłaniająca nas do działań w kierunku upragnionym.

Po to, by być szczęśliwym, niezbędna jest odwaga, odrzucenie obiegowych stereotypów oraz obyczajowych konwenansów. Tylko wtedy, gdy dostosowujemy nasz sposób istnienia do własnej struktury psychicznej, możemy mieć nadzieję, że będziemy szczęśliwi. Zniewolenie poglądami, w tym ocenami i obyczajami otoczenia, stoi na przeszkodzie w osiągnięciu szczęścia. Bywa, że tracimy nieodwracalnie czas ulegając zależnościom od innych, a potem winić możemy tylko siebie za niespełnione szczęście.

Tajemnica szczęścia polega na umiejętności właściwego stosunku do tego, co nas spotyka w teraźniejszości.

A więc chociaż cele, ku którym zmierzamy, leżą w przyszłości, to po to, by być szczęśliwym, trzeba umieć właściwie przeżywać drogę, która wiedzie w takim właśnie kierunku.

Przeżywać szczęście może każdy: biedny, bogaty, mądry, głupi. Przeżycie szczęścia przywraca wewnętrzną harmonię i nie rodzi wątpliwości co do tego, że istnienie ma sens. Przeżycie szczęścia chciałoby się zatrzymać. Nieufność, tworząc barierę między człowiekiem a światem, może zmniejszyć zdolność do intensywnych przeżyć szczęścia.

Nic nie pomoże nam czytanie rozpraw filozofów o szczęściu. Nic nie zyskamy, jeśli uznamy za słuszną, na przykład, koncepcję szczęścia Seneki czy Epikura. Nie pomoże to nam, jeśli odczuwamy brak przeżywania szczęścia. Pomóc może literatura piękna, która przynosi surogat marzeń o życiu szczęśliwym. Stąd powodzenie mają reportaże o życiu gwiazd, czy filmy kończące się szczęśliwym rozwikłaniem losów kochanków. Można tą drogą, chociaż na chwilę, przeżyć zastępczo moment szczęścia.

Podnoszenie problemu szczęścia w czasach tak trudnych jak nasze i przesyconych niepokojem toczących się nieustannie wojen, może z pozoru wydawać się dziwaczne. Jest to jednak zagadnienie podstawowe. Każdy poszukuje szczęścia. Rozporządzamy nieznaną ilością lat własnego życia i na to nie mamy wpływu. Ale możemy w tym samym przedziale czasu przeżyć więcej, niż zdarza się to na ogół.

I uparcie poszukiwać szczęścia. Nie wystarcza bierne oczekiwanie.

Nie będziemy szczęśliwi, jeśli nie skierujemy uwagi na sprawy głębsze, niż zabiegi mające na celu utrzymanie się przy życiu. Trudno osiągnąć zadowolający poziom materialny, a skierowując wysiłki głównie ku temu, traci się nieodwracalnie czas. Każdy z nas pragnąłby być bogaty, przynajmniej zamożny, ale czy warto poświęcać istnienie takiemu celowi? Zyskując przedmioty nie staniemy się przez to ani bardziej wartościowi, ani bardziej szczęśliwi. To tylko funkcjonująca w społeczeństwie wadliwa hierarchia wartości uczy nas fałszywego szacunku dla tych, którzy wzbogacili się materialnie. Oczywiście zdarza się, że ludzie nieprzeciętni, mogący stanowić wzór do naśladowania, są zarazem zamożni. Ale nie

jest to typowe, przynajmniej u nas.

Jestem przekonana, że przeżywania, odczuwania szczęścia trzeba się wciąż uczyć. Stan szczęścia wiąże się również z umiejętnością cieszenia się tym, co nas spotyka, z pewną umiejętnością przetwarzania trudów w postać radości. Niektórzy twierdzą, że szczęście zawiera się w samym dążeniu do niego. Ale wspominałam już o tym, że nie powinno się czynić szczęścia celem własnego życia. Warto mieć wyrazistą hierarchię wartości i koncentrować energię na działaniach, zaś szczęście staje się wtedy rezultatem powodzenia naszych wysiłków i stosunku do nas innych ludzi.

Sięgnijmy do znanego przykładu Haliny Poświatowskiej, poetki ciężko chorej, której prof. Julian Aleksandrowicz przedłużył życie ucząc ją odnajdywać szczęście – wzmagające siły witalne – w twórczości. Nie jesteśmy aż tak dalece zależni od okoliczności, jak nam się to na ogół wydaje. Szczęście potęguje naszą żywotność. Ale trzeba dodać, że siłą niektórych jest totalna negacja wszystkiego i wszystkich. Ciągłe niezadowoleni z tego protestu unieszczęśliwiającego czerpią siły.

Mądrość polega na tym, by nie osądzać innych w kategoriach zła i dobra, lecz starać się ich zrozumieć. Życie trzeba poświęcać urzeczywistnianiu jakichś wartości, chociażby otoczenie uważało je za błahe lub źle wybrane. Możliwość jest w nas więcej, niż można by przypuszczać. Mickiewiczowskie „mierz siły na zamiary” nie straci nigdy swojej aktualności. Niezadowolenie z własnego losu, rozpamiętywanie braków w tym, co spełnione zamiast koncentrowania się na tym, co jest możliwe do spełnienia – utrudnia osiąganie stanów szczęścia. Jest przy tym wiadome, zwłaszcza tym, którzy zetknęli się z filozofią Dalekiego Wschodu, że myśli destrukcyjne, koncentrujące się na przewidywaniu możliwych nieszczęść, prowadzą w końcu do ich przyciągania. Nie wolno poddawać się „czarnym” myślom. Nie wolno, mimo że wobec wielu spraw, i to zasadniczych, jesteśmy bezradni. Dla naszego szczęścia ma znaczenie uwaga skierowana głównie na czas teraźniejszy i przyszły. Potrzebna też jest wyobraźnia i fantazja. Wyobraźnia potęguje przeżywanie szczęścia. I ona też powinna obronić nas przed czasem, w którym mielibyśmy dojść do wniosku, że zmarnowaliśmy życie. Intuicja podpowiada, że jednym z warunków szczęścia aczkolwiek – nie wystarczającym – jest przewyciężenie egocentryzmu. Mianowicie szczerze zainteresowanie się czymś oraz innymi ludźmi musi dochodzić do głosu w naszym życiu, jeśli mamy być szczęśliwi. Tymczasem spotykamy dość często osoby, które szukają kontaktów po to, by poskarżyć się drugiemu człowiekowi. Czasami wydaje mi się, że nie oczekują nawet odpowiedzi. „Wylewają” swoje kłopoty i problemy, i wracają do swoich kolein.

Rzadko spotkać można kogoś, kto z zainteresowaniem słucha drugiego człowieka i rozmawia z nim. Ten, kto się zamknął w kręgu swojego świata przemyśleń i doznań – z trudnością przekracza barierę samotności. Brak głębszego zaciekawienia istnieniem innych sprawia, że przypominamy ślepcę ze zdarzenia artystycznego Fredy Ojda, który w podziemnym pasażu ulicy wędruje w chodakach, wywołując nimi hałas. Bezradny, osamotniony, potyka się i pada co chwilę, napotykać nowe i nieznanie sobie przeszkody.

Jestem przekonana, że poza trwałym szczęściem wynikającym z poczucia własnego istnienia, spełnienie tego, co uważamy za naszą powinność, przynosi przeżywanie szczęścia. Po to, by być szczęśliwym, trzeba być pogodnym ze sobą, możliwie harmonijnym, aczkolwiek rozwój człowieka, co naukowo uzasadnił psychiatra i psycholog Kazimierz Dąbrowski, przechodzi przez stany integracji i dezintegracji. Myślę, że wyjątkiem od tej zasady jest miłość erotyczna, która powoduje tak intensywne stopienie się z drugim człowiekiem, że sprawa stanu harmonii wewnętrznej nie ma tu znaczenia. Miłość erotyczna to forma wspaniałej ucieczki przed samym sobą. Ale jest to zarazem powrót do samego siebie, do nieznanych nam wcześniej możliwości.

Pisałam już o tym, że trzeba być odważnym, jeśli rzeczywiście chce się być szczęśliwym. Szczęście wymaga przewyciężenia własnej bierności. Miłość również wymaga właściwych

postaw i wysiłku skierowanego ku drugiemu człowiekowi. Nie jest łatwo wytwarzać w sobie obojętność wobec tego, co myślą i mówią inni, zwłaszcza nam bliscy. O tym, że każdy pragnie aprobaty, była już mowa wcześniej. Ale chęć czynienia zadość opinii innych może utrudniać osiągnięcie szczęścia, a nawet obudzić przeżycia nieszczęścia.

Opinia innych, tak zwana opinia publiczna (środowiskowa, rodziny, miejsca pracy), wyraża z reguły aprobatę dla tego, co przeciętne i statystycznie najczęstsze. Okazuje się, że opinia może wywołać w kobiecie wrażliwej – znam kilka takich przypadków – poczucie nieszczęścia wynikające na przykład z tego, że nie ma męża czy dzieci. Zdarza się, że otoczenie uznaje ją za mniej wartościową od mężatek czy kobiet zajmujących się potomstwem. Taki nakaz „jednakowego upierzenia” bywa bezduszny i jest wyrazem despotyzmu, bo nie bierze pod uwagę głębokich różnic indywidualnych między ludźmi. Jakże łatwo w tej bezwzględnej tendencji do narzucania innym własnego sposobu życia, umyka podstawowa prawda, że nie można wszystkich uszczęśliwić tym, co sami przeżywamy jako szczęście.

I na zakończenie dodam, że szczęście i tolerancja to złe skojarzenia. Nie chodzi bowiem o to, by samemu być szczęśliwym i łaskawie tolerować fakt, że innych uszczęśliwia coś innego niż nas. Jediną prawidłową postawą jest wyraźne zdawanie sobie sprawy, że nie jesteśmy społeczeństwem mrówek, że różnimy się między sobą nie tylko tembrem głosu, liniami papilarnymi, czy charakterem pisma. Właśnie problem szczęścia wiąże się wyraźnie z koniecznością przyznania każdemu uprawnień do tego, aby odnajdywał je w sposób tylko sobie właściwy. Wiąże się więc z koniecznym przywróceniem kultu dla tego, co indywidualne. Wtedy mniej może będzie w nas owej nostalgii, którą uwyrażnia wiersz Ludmiły Janusewicz:

W oknie przyszłość
i to co minęło
siedzę
smutkiem przywiązana
do krzesła
najuciężliwszy z czasów
teraźniejszość.

Tkliwość

Nie umiemy wyrażać uczuć. Nikt nas tego nie uczy. A panujący styl nakazuje szorstkość i nie przyznawanie się nie tylko do uczuć, ale i do odczuć. Modna w sposobie bycia stała się nonszalancja. Określano nas kiedyś jako Francuzów Północy, a dziś nawet i ta powierzchowność wyrazu zanika. Obecnie, nawet wysyłając życzenia, nie nadajemy im zindywidualizowanej treści, lecz posługujemy się chętnie gotowymi, ponumerowanymi tekstami telegramów. „Iluż profesorów chwytą za podręcznik z wzorami nie matematycznymi czy fizycznymi, kiedy chcą napisać Ust miłosny, bo nie mają pojęcia, jak wyznaje się miłość” (J. Jacobi, *Zamaskowanie*, przełożył Cz. Tarnogórski). Tak jest w Szwajcarii – u nas trudno o podręcznik w ogóle, a co dopiero z takimi wzorami!

Gotowe wzory spotyka się przede wszystkim w liturgii; obrządek religijny określa sposób wyrażania uczuć wraz z ich treścią. Formuły określające to, że przyjemnie mi, czuję się zaszczycony i wiele innych spotykamy w dość rygorystycznie ustalonym brzmieniu w dyplomacji. Bywają to w obu dziedzinach często formy puste, za którymi nie kryje się poruszenie uczuciowe stosujących te formy.

Na co dzień pozytywne stany uczuciowe i odczuciowe określa się jako „fajne”. Stosuje się to określenie do zdarzeń, ludzi, sytuacji i przeżyć. Uniwersalnie. W pośpiechu, w którym niepotrzebnie żyjemy, łatwiej tak nazywać wszelkie stany, które przeżywamy jako przyjemne, niż szukać właściwych precyzyjnych nazw. Wygodnictwo też nie zachęca do zastanawiania się nad tym, co właściwie przeżywamy.

I powoli ubożjemy wewnątrznie.

Tkliwość to wzruszenie wywołane obecnością kogoś nam bliskiego. Wiąże się ze świadomością znaczenia tej osoby w naszym życiu. Tkliwość może wywołać matka, siostra, żona, dziecko, stryjenka, przyjaciel, a więc ktoś, z kim już pozostajemy w związku psychicznym. Trudno wyobrazić sobie, by ten stan mógł wyzwolić nieznany człowiek; może on wzbudzić współczucie, może zaciekawić czy wywołać chęć pomocy, może nawet wzbudzić jakieś mocne uczucie – ale nie tkliwość.

Więć psychiczna jest, jak mi się wydaje, warunkiem stanu tkliwości; tej swoistej, głębszej odmiany czułości jako wyrazu poruszenia kimś. Tkliwość to zarazem myślowo-uczuciowe przeniknięcie sytuacji tego człowieka i jej rozumienie. To coś więcej niż tylko współodczuwanie i współpójmowanie. Tkliwość wiąże się z gestem; uściśnięciem ręki, tkliwym pocałunkiem, pogłaskaniem po głowie, intonacją głosu czy wymownym spojrzeniem. Są to znaki porozumienia bardziej wyraziste niż same słowa, które tak często banalizują i upraszczają stany emocjonalne, jakie pragniemy wyrazić.

Tkliwość to coś więcej niż przejawy sympatii do jakiegoś człowieka. Wiąże się z wniknięciem w świat wewnętrzny i to na miarę innego, nie zaś naszą własną. Z tkliwością wiąże się zdolność postawienia siebie w sytuacji drugiego, a co za tym idzie – emocjonalnego odebrania jego odczuć. A więc przewycięża ona stany osamotnienia i pozwala wzbogacić się o sposób odczuwania innego człowieka. Jest to kontakt wzbogacony o całą pozasłowność.

Tkliwość pozwala przekroczyć stan zaabsorbowania samym sobą. Na przeszkodzie tkliwości często staje wstyd, który nie pozwala nam na gesty tkliwe wobec innego. Boimy się siebie, swojej zależności od innych i przełamania siebie w innym. Pytanie, co o nas ktoś pomyśli lub lęk, czy nie naruszymy czyjejś autonomii działa na nas hamująco. W rezultacie wygodniej nam i bezpieczniejszą tkliwością obdarzyć zwierzęta domowe, fotografie bliskich czy

nawet maskotki.

Wstydzimy się uczuć. Staramy się, zgodnie z duchem epoki, być rozumni, opanowani, chłodni, nieczuli i pozbawieni tkliwości – rzekomo odsłaniającej naszą słabość. Rzeczowość, której hołdujemy, podpowiada nam, by nie przysparzać innym cierpień. I to ma wystarczyć. Przeżycia uczuciowe uznawane są za dziecinadę. Udajemy dorosłych zapominając, że „dzieckiem podszyty” jest człowiek właśnie wartościowy, rozwijający się wewnątrz.

Czułość – przejaw częściej spotykany od tkliwości – nie wiąże się z taką dużą dozą rozumienia innego człowieka, co tkliwość. I nie wymaga uzewnętrznienia – istotnego elementu tkliwości. Czułość można maskować pozorami chłodu czy obojętności bądź żartobliwości, a nawet rubaszości. Z tkliwością jest inaczej, bowiem nie wyjawiona – ginie.

Trzeba wyraźnie zaznaczyć, że tkliwość jest odległa od sfery seksualnej, choć silnie związana z zainteresowaniem innym człowiekiem. Raczej można by ją określić jako wyższy stopień serdeczności czy, ściślej, empatii. Tkliwość jest stanem podniosłym, do którego nie są zdolne osoby duchowo kalekie, to znaczy rozwinięte intelektualnie, lecz odznaczające się niskim poziomem reakcji uczuciowych.

W uproszczonym świecie, w którym na ogół egzystujemy, nie ma miejsca na tkliwość. Wymaga ona skupienia, ciszy, zamyślenia, wyjścia poza siebie, wniknięcia w innego. Dobrzy, życzliwi możemy i powinniśmy być również dla osób nam obcych, a nawet niesympatycznych. Inaczej z tkliwością, która wymaga zaistnienia fundamentów. Czesław Znamierowski sformułował postulat życzliwości powszechnej i domagał się jej spełnienia w społeczeństwie. Analogiczny postulat powszechności nie miałby sensu, gdy chodzi o tkliwość, ponieważ jest ona wybiórcza, kieruje się jedynie do niektórych z naszego najbliższego kręgu i to jedynie w pewnych momentach. Nie jest stanem istniejącym trwale. Wywołana – uzewnętrznia się.

Ciekawostką może być tutaj sprawa odpowiednika pejoratywnego. Miłość – ale miłośćka, czułość – ale czułośćka. Tkliwość też nie panuje niepodzielnie w jednym jedynym znaczeniu pozytywnym. Roztkliwianie się jest stanem wprawdzie przesadnym, ale nie stanowiącym zaprzeczenia tkliwości. Dochodzi w nim do głosu uwielbienie dla swojej własnej tkliwości.

Utarło się, że tkliwość jest – jak i w ogóle uczuciowość – czymś, co przystoi jedynie kobietom. Mnie się wydaje, że jest to cecha niezbędna każdemu pełnemu człowiekowi, a więc i mężczyźnie. Nie inaczej wszak odnoszą się oni, na przykład, do hodowanych przez siebie psów.

Wdzięczność

Zaryzykowałabym twierdzenie, że sposób przeżywania wdzięczności i związana z tym postawa wobec drugiego człowieka stanowi jeden z zasadniczych mierników wartości jednostki. Jest zarazem sprawdzianem człowieka.

Przytoczę dwa przykłady: wdowa po lekarzu oddaje w czasie okupacji niemieckiej młodemu chirurgowi instrumenty swego męża. Umożliwia mu tym samym rozpoczęcie samodzielnej praktyki. Mijają lata. Przypadek sprawia, że właśnie do owego chirurga trafia ofiarodawczyni jako pacjentka, nie pamiętając o zdarzeniu sprzed trzydziestu paru lat. Ale nie zapomniał chirurg. „Przecież to ja jestem dłużny i cieszę się, że mogę spłacić mój dług. Choć w małym stopniu”. Jego opieka lekarska trwa długo i jest bezinteresowna.

Przypadek drugi. Obóz w Niemczech, głód. A jednak ktoś, odmawiając sobie racji żywnościowych, wysyła komuś z rodziny w obozie koncentracyjnym, choremu na szkarlatynę, suchary, wśród nich przemyca lekarstwa. W ten sposób ratuje życie. Mijają lata. Po wojnie uratowany zrywa kontakt. Dlaczego? Czuje może, że sytuacja wymaga z jego strony pomocy materialnej (na którą, zresztą, byłoby go stać). A może nie umie sobie poradzić z uczuciem wdzięczności i wybiera formę najłatwiejszą: unika tego, komu coś zawdzięcza. Przysłowie mówi o małych darach zjednujących wielkich przyjaciół. A jak z darami wielkimi?

Może poczucie swoistej zależności od tego, kto pomógł – w tej czy innej formie – sprawia, że powstaje instynktowna tendencja, by od niego się odwrócić? Poczucie, że od kogoś doznaliśmy pomocy, ciąży nam. Ale zrozumienie tej sytuacji, chwila refleksji, poczucie odpowiedzialności za własne zachowanie, a także świadomość otrzymanego dobra – powinny zwyciężyć.

A poza względami etycznymi i estetycznymi – bo większość zachowań mieści się w obu tych kategoriach – istotne jest i to, że każdy z nas nie może się obyć bez powiązań z innymi ludźmi. Brak właściwie pojętej i praktykowanej wdzięczności narusza te powiązania.

Wdzięczność, wykluczająca unikanie tych, którym coś zawdzięczamy, wiąże się z gotowością do udzielania pomocy w ogóle innym ludziom. Czasem oddanie innym ludziom tego, co kiedyś otrzymaliśmy sami, jest jedynym sposobem wywiązania się z długu wdzięczności.

Dewiza w każdym przypadku jest nader prosta: postępuj z drugim tak, jakbyś chciał, żeby odnoszono się do ciebie.

Niestety brak wyobraźni, częstszy niż się to zdaje, sprawia, że wyrządzamy krzywdę innym. Nie stać nas na wyobrażenie sobie, że sami będziemy kiedyś w podobnej sytuacji oczekiwania na odruch wdzięczności. Że, na przykład, będziemy starzy i nie zechcemy znaleźć się tam, gdzie – zapominając o wdzięczności dziś -odsyłamy swych rodziców: w domu starców.

Umieć być wdzięcznym to znaczy traktować inne jednostki, a więc i tych, którym coś zawdzięczamy, jako wartości same w sobie, a nie tylko źródła naszych korzyści. Z wdzięcznością łączy się zdolność do pełnego empatii, autentycznego kontaktu z innym człowiekiem.

Niezdolność do wdzięczności wiąże się po części z brakiem przygotowania do wyrażania

uczuciu. Wstydzimy się ich. Nie potrafimy ujawniać. Nikt nam nie pokazuje, że można, a nawet powinno się to czynić. Czasem potrafimy, ale nie w porę. Wdzięczność dla mistrza jakże często wyrażają jego uczniowie wtedy, gdy nie muszą się bać, że jego sława nadmiernie ich przesłoni. A więc we wspomnieniach pośmiertnych.

Ten, kto wiele zrobił dla innego, nie oczekuje niczego w zamian. Potrzebna mu jest „zapłata” polegająca na świadomości, że tamten człowiek zdaje sobie sprawę z jego wysiłku, starań, dobrej woli. Nieraz zdarza się, że czyjaś życzliwość i pomoc potrafimy docenić dopiero po latach. Nie jest niemądre – ze spóźnieniem, choćby wieloletnim – powiedzieć to czy napisać.

Małość człowieka ujawnia się wtedy, gdy nie umie być wdzięczny, gdy ucieka przed tym, kto mu w czymś dopomógł bądź wręcz odnosi się do niego w sposób nieprzyjazny. Może takie nieprawidłowe postawy wynikają z podświadomego lęku zależności od kogoś i poczucia skrepowania z powodu własnej niesamodzielności? Dlatego też nieraz tak pospiesznie staramy się czymś odwdziaczyć, ażeby pozbyć się jak najrychlej ciężaru długu.

Świadomość, że powinniśmy być wdzięczni, rozgorycza nas; nieokazanie wdzięczności rozgorycza tych, którzy mają prawo jej od nas oczekiwać. Rozgoryczenie jest osadem po bezskutecznym oczekiwaniu na coś, co odczuwamy jako należne. Trzeba być świadomym siebie i „osadzonym” w sobie, by daru nie odrzucać -niechby tylko podświadomie -jako rodzaju poniżenia: daje mi, a więc jest lepszy, większy, mocniejszy.

Zakładam, że zdolność do odczuwania wdzięczności jest właściwością powszechnie związaną z człowieczeństwem, choć nie stanowi cechy wyróżniającej. Różne są natomiast stopnie tej zdolności i różne sposoby jej wyrażania. Ograniczając się na moment do sprawy jej wyrazu, należy podkreślić, że przybiera formy od spontanicznych, a nawet egzaltowanych (nie nadaję temu terminowi pejoratywnego znaczenia), do powściągliwych, wewnątrz skupionych czy onieśmiałonych.

Wdzięczność wymaga nieraz wysiłku, poświęcenia, przewyciężenia właściwej nam skłonności do wygod. Wdzięczność, jeśli jest przeżyciem a nie frazesem, okazuje się z gruntu czymś więcej niż werbalnym jej wyrażaniem. Przeobraża nas, wyzwalać choćby czasem z pęt egoizmu i samolubności. Stajemy się dzięki temu przeżyciu lepsi i szlachetniejsi.

Niewdzięczność ludzka ma tło jeszcze mocniej ją uwypuklające, mianowicie wdzięczność zwierząt. A na odwrót, jeśli już tak trudno z wdzięcznością wobec współludzi, jak z naszą wdzięcznością wobec zwierząt? „Wiem, że we Francji w roku 1954 – pisze Cat Mackiewicz w jednej ze swych książek – wysłużone psy policyjne, z których jeden uratował życie dziecka, wyciągając je z rzeki, były zastrzelone z powodu starości”.

Oczekiwanie wdzięczności koresponduje z potrzebą aprobaty ze strony otoczenia, odczuwaną przez każdego. Siła tej potrzeby wzrasta, im mniej mamy pewności siebie. To oczekiwanie, by nasze działanie napotykało oddźwięk, potrafi wzbudzać w nas zdolność do działań przekraczających, zdawałoby się, siły jednostki, choć na pewno nie jest motywem jedynym. Działając bezinteresownie, pragniemy wdzięczności. I tego nie należy się wypierać i wstydzic.

Czesławowi Tarnogórkowskiemu

Takt

Kpiny z „Kindersztuby”, traktowanie dobrego wychowania jako reliktu minionej epoki, wymagają co najmniej przemyślenia w zetknięciu z tymi objawami międzyludzkich relacji, które są niemożliwe dalej do tolerowania. Ordynarność, agresja, złość, wrogość oto, co nas spotyka zbyt często ze strony innych, w tym przypadkowych osób spotykanych na ulicy, w autobusie czy w sklepie.

Takie objawy nasilają się szczególnie w dużych miastach, gdzie większość napływowej ludności czuje się źle, obco i nie umie się odnaleźć w nieznanej sobie wielkomiastości, która przyciąga mirażami. To, co hamowała dawniej presja obyczajowa i nacisk znanego sobie środowiska, staje się tu, w tym nowym otoczeniu, nagle dozwolone z racji anonimowości, która do niczego nie zobowiązuje.

Czy ludzie byli dawniej lepsi? Zapewne nie. Ale niewątpliwie bardziej taktowni. Nie żyli w stanie nieustannego pośpiechu, który nie pozwala na uważne przestrzeganie elementarnych form międzyludzkich. Zastanawiali się, jak inni reagują na ich gesty i słowa. Często prowadzące do obłudy drobnomieszczańskie pytanie „co on, czy ona sobie o mnie pomyśli?” miało jednak również pewien aspekt dodatni.

Ta sama, godna zawsze potępienia, wrogość człowieka do człowieka staje się łatwiejsza na co dzień do przetrwania, gdy hamują ją i pokrywają pewne, ustalone w danej społeczności, grzesnościowe formy stosunków międzyludzkich. Istnienie staje się najeżone strachem, jeśli w każdej chwili, zewsząd, bez wyraźnego powodu oczekiwac musimy grubiaństwa czy przejawów złego wychowania. Każdemu z nas potrzebna jest życzliwość innych, w tym tych, zupełnie nieznanymi, z którymi przypadkowo się stykamy. Smutne, że na nieżyczliwość i wrogość obecnie nawet nie trzeba „zapracować”. Zachowujemy się jak szczury, które w nadmiernym zagęszczeniu zaczynają się zagryzać.

Znam usiłowania grafologów, aby przez zmianę charakteru pisma zreformować pewne cechy psychiczne piszących. I podobnie – ponieważ tak bardzo trudno zmienić nastawienie wewnętrzne jednostek – przynajmniej zachowujmy się wobec siebie taktownie i zgodnie z przyjętymi zwyczajami dobrego wychowania! Może, umacniając te objawy, doprowadzimy też z czasem i do zmian w istotniejszym wymiarze.

Zapewne, brak jest obecnie wzorów, bowiem nie ma grupy społecznej, która byłaby otoczona nimbem i skłaniała do naśladowania. Przedmiotem satyrycznych żartów oraz lekceważenia stają się również uczeni, którzy dawniej mieli autorytet w społeczeństwie. Dają jako przykład tę warstwę, nie wnikając w przyczyny, dla której przestała mieć jakikolwiek prestiż.

Dawniej rolę wzorów pełniły, na przykład, dwory czy zaścianki. Obecnie w atmosferze powszechnego braku szacunku nie ma się gdzie uczyć zachowania taktownego. Problem się zaostrzył, ponieważ ludzie wykształceni coraz częściej odznaczają się niską osobistą kulturą. A więc taktowni częściej bywają ci, bez dyplomów, a nie ci, „nobiletowani” przez upragnione dyplomy.

Szerzą się fatalne drobnomieszczańskie obyczaje. Wytwarzają one nakazy w rodzaju zdejmowania butów przez przybyłych do domu gości, co nie jest w Europie uznane za przejaw dobrego smaku czy stylu. Podłoga staje się wartością nadrzędną w stosunku do

całości stroju; pantofle powinny wszak stanowić część kompozycji (stroju). Szerzy się też zwyczaj zapraszania gości tylko z okazji świąt, czy innych szczególnych uroczystości rodzinnych. Potrzeby życia towarzyskiego w sposób mniej czy więcej świadomy zaspokajają się w miejscu pracy. Odzwyczajając się od kontaktów towarzyskich, nie mamy możliwości ćwiczyć się w reakcjach taktownych.

Obecnie najsilniej na wyobraźnię tłumu oddziałują aktorzy, a zwłaszcza piosenkarze, ale stąd nie płynie nauka taktownego odnoszenia się do innego człowieka. Ze słów piosenek można się nauczyć pewnej brutalności.

Odnoszenie się taktowne do innego człowieka to wyraz człowieczeństwa i zarazem szacunek dla cudzej integralności. To respekt dla nosiciela innych cech indywidualnych niż te, które ja posiadam. Odnoszenie się taktowne wyraża lęk, by nie urazić kogoś, nie naruszyć jego sfery intymności i prywatności, która przysługuje każdemu. To innymi słowy respekt dla tego, co obecnie określa się częściej mianem godności niż honoru.

Trudne czasy wymagają więcej taktu w stosunkach międzyludzkich. Łatwiej wtedy przetrwać. Myślę, że taktu można się nauczyć, o ile dysponuje się wrażliwością i wyobraźnią. Wystarczy wszak postępować wobec innych tak, jak pragnęlibyśmy sami być przez nich traktowani. Wystarczy przewyciężyć wygodnictwo i postawić siebie w sytuacji drugiego człowieka. Wypowiadane wtedy słowa, jak również czyny i gesty będą taktowne. I nie ma to nic wspólnego ani z obłudą, ani ze strasznym mieszczaństwem, które niezrównanie zwalczała Zapolska i Boy. To nie zakłamanie, lecz troska o to, by nie wyrządzić komuś niepotrzebnej bądź nadmiernej przykrości powinna zmuszać nas, by dobierać właściwe słowa.

Człowiek taktowny to ten, który jest zdolny wczuć się w położenie innego. Odczytać jego fobie, niepokoje, urazy i nie potęgować w nim negatywnych przeżyć nierozważnym gestem czy słowem. Niestety, w dzisiejszych czasach zachowanie taktowne bywa odczytywane w najlepszym razie jako anachroniczne. Najczęściej jest uznawane za dziwaczne, śmieszne, a nawet podejrzane. Bezceremonialność nowej inteligencji, często pozbawionej osobistej kultury i wrażliwości, stanowi zaprzeczenie postawy człowieka taktownego.

Ośmieszany dzisiaj typ człowieka, estety miał również i tę zaletę, że wiadomo było, jak się zachowa. Wytwarza się poczucie bezpieczeństwa, gdy z góry można wykluczyć obawę przed niewłaściwymi reakcjami bliźnich.

Człowiek taktowny, powiedzą niektórzy, to istota fałszywa, kierująca się tym, co wypada, co należy, co dobrze widziane i aprobowane w obyczajowości danego kraju w określonej epoce. Ale zastanówmy się, czy szczerością można określić tę spotykaną często agresję, bezceremonialność, grubiaństwo i ordynarność? Nie można zapominać, że naprawdę w stosunkach międzyludzkich, a więc na otwartość i szczerłość, trudno się zdobyć. Wymaga to odwagi wewnętrznej. Zobowiązuje do niej kategorycznie związek przyjaźni. I nie jest ona przeciwstawieniem tego, co określamy mianem taktu.

Takt dotyczy bardziej formy, niż treści stosunków międzyludzkich i wszelkie rozmowy istotne – często wszak niemiłe czy trudne dla interlokutorów – mogą być zarazem taktowne. Dążenie do zachowań taktownych nie powinno prowadzić do nadmiernej mimikry, do trwożliwego zatajenia własnego ja i dostosowania się do otoczenia.

Być człowiekiem taktownym może ten, kto podlega własnym procesom edukacyjnym. Wszak nieczułość, ospałość, gnuśność – by wymienić te przykłady – bywa w wielu sytuacjach czymś nietaktownym. Wygodniej więc istnieć jednostkom pozbawionym taktu. Ale czy wygoda, bądź dążenie do niej, jest wartością godną uznawania i naśladowania?

Bierność i obluda

Tak wiele zależy od nas, od naszej decyzji. Od umiejętności czynnego chcenia. Więc dlaczego bierność i wygodnictwo często biorą górę i stać nas przeważnie jedynie na narzekania? Działają one destrukcyjnie. Wyżalamy się innym na swój los zamiast starać się zmienić coś w swoim życiu. Zamiast ukształtować je tak, by mimo trudnych zewnętrznych okoliczności – cieszyć się tym, że istniejemy. Kruchość naszego zdrowia i zbyt mały wpływ na długotrwałość naszego życia, nieustanne zagrożenie chorobami – powinny wyrobić w każdym z nas umiejętność cieszenia się tym, że w ogóle żyjemy. Radości istnienia nikt i nic nie może nam odebrać.

Heidegger zwraca uwagę na zasadniczą niedogodność istnienia człowieka w wieku XX. Otóż każdy z nas jest zagubiony w tłumie, w pospolitości. Stanowi to zagrożenie dla możliwości stwarzania własnego ja na wyższym poziomie. To uwikłanie w pospolitość przejawia się w trzech zasadniczych formach. Po pierwsze, życie społeczne, od którego nikt zresztą nie powinien uciekać, ma cechę gadatliwości. Przez tę gadatliwość Heidegger pojmuje używanie słów, które się wytarty, których sens stał się już odległy od pierwotnego znaczenia; w rezultacie zaciemniają prawdę. Po drugie, w życiu społecznym panuje żądza ciekawości, tak to określa Heidegger. Poszczególne jednostki pod wpływem oddziaływania kultury masowej zaczynają poszukiwać sensacji. Dążenie do prawdy jest oceniane jako anachroniczne i śmieszne. I wreszcie trzeci przejaw, niepożądany, życia społecznego – to właściwość, którą Heidegger określa mianem dwuznaczności. Objawia się to jako brak szczerości w kontaktach jednostkowych. Przejawy pospolitości obniżają tę prężność, z jaką każdy z nas powinien dążyć do rozwoju własnego ja.

Nie umiemy zaaprobować naszej niesamowystarczalności. Zamiast wyciągać wnioski z naszej zależności od innych, wstydzimy się tego, że do pełni naszego istnienia potrzebni są nam inni ludzie. Ten wstyd – często nieuświadomiony – przejawia się nieraz na zewnątrz w formie agresywnych działań wobec otaczających nas osób. Przyjazny, pełny bezinteresowności stosunek do drugiego człowieka coraz rzadziej dochodzi do głosu w naszych działaniach.

Wzmaga się też coraz bardziej niepokojąco zainteresowanie przedmiotami, dobrami materialnymi. Zamknięci w kręgu chęci posiadania coraz to nowych, bądź też technicznie doskonalszych przedmiotów, tracimy z pola widzenia bogactwo możliwych, wielopłaszczyznowych więzów, które mogą i powinny wytwarzać się wzajemnie między nami. Bezinteresowny stosunek do człowieka i podchodzenie do niego jako do niepowtarzalnej wartości, coraz rzadziej dochodzą do głosu w naszej rzeczywistości.

Zastanawiając się nad tym procesem dochodzę do wniosku, że zmęczenie przedmiotami, a ściślej, wysiłkami w kierunku ich zdobywania nie osiągnęło widocznie jeszcze swego kresu u nas. Dopiero umęczenie tym procesem i dalsze niepokojące wzrastanie liczby chorych - skutku takiej postawy życiowej – może powstrzymać ten bezrozumny pęd. Trzeba uczyć się powstrzymywać własną „żarłoczność”, bo niszczy nas samych i nie przynosi szczęścia. Już Epikur w starożytności wykazywał, że dążenia w sferze doznań zmysłowych i chęci posiadania dóbr materialnych przynoszą stan nienasycenia. Dlatego uczył – i wskazania te nie straciły swej aktualności – ażeby kierować uwagę na swoje wnętrze i szukać wartości bardziej trwałych niż przedmioty, które nas męczą i nie zadowolają trwale. Takie poszukiwania prowadzą do świata kultury.

Nasze działania niepokojąco koncentrują się wokół potrzeb biologicznych, materialnych, jak i ambicjonalnych – a to nie podnosi nas powyżej poziomu zwierzęcego. Wartość ideałów została w czasach po II wojnie światowej niepokojąco zdeprecjonowana. A w związku z tym został zburzony kult czynu. Właśnie pochwałą działań ludzkich, nakierowanych na wyższe wartości, głosi – tak mało znana u nas – polska filozofia narodowa. Nadmierny wpływ pragmatyzmu i socjologicznego sposobu myślenia, mający źródło nie tylko w marksizmie, ale i w nadmiernym kulcie amerykańskiej socjologii, spowodował, że przestało się szanować u nas wartości działań mających na celu urzeczywistnianie wartości wyższych. Zabrakło też żywych wzorów do naśladowania i w rezultacie zachwianiu uległa właściwa miara człowieka. Pasje, które warto i należy kultywować zastąpiono terminem hobby, wyrażając w tym dobrotliwy stosunek do tego, co nieużyteczne i nie przynoszące w życiu wymiernych wartości.

Zapomina się o tym, że prawdę słów należy przekuć w prawdę działań. Słowa się wytarły i nie budzą zaufania o ile nie wyrażają je zarazem ludzkie działania. Nieustannie stajemy wobec konieczności podejmowania wyborów i w rezultacie nasz czyn staje się jedyną prawdą. Dążenie do ukształtowania w sobie światopoglądu też wiąże się z czynną postawą wobec świata.

Każdemu z nas właściwe jest poczucie niedoskonałości tego, co zostało urzeczywistnione. I to poczucie staje się bodźcem uruchamiającym dalsze wyniki. Często tłumimy tęsknotę ku temu, co być powinno. A buntując się przeciw niedoskonałości świata, za mało wkładamy wysiłku, ażeby dostosować świat do naszych oczekiwań.

Poddając się własnej bierności rezygnujemy z urzeczywistniania siebie. Egzystencjaliści głoszą, że działanie ludzkie stanowi manifestację naszej wolności i jeżeli nie jesteśmy dostatecznie czynni, to wtedy inni wybierają za nas wartości i narzucają nam treść swoich wyborów.

Działanie przewycięża osamotnienie. Zbliża i umacnia więzi łączące nas z innymi. Pozwala też lepiej poznać nasze własne ja. Działanie jest ściśle związane z naszym wewnętrznym rozwojem. Filozofowie starożytności nakładali na człowieka obowiązek podejmowania czynów. Szczególnie zobowiązani ku temu mieli być ludzie intelektualnie i moralnie ponadprzeciętni. Oni bowiem powinni pełnić funkcje w życiu publicznym.

Działając poznajemy własne możliwości i zarazem współtworzymy ludzki świat kultury. Właśnie w tym świecie dochodzi do głosu nasze człowieczeństwo. Dodam też, że wysoką ocenę czynnej postawy człowieka wobec świata znajduje się w teologii, bowiem wielu myślicieli traktuje współtworzenie świata kultury przez nas za ciąg dalszy aktu stworzenia świata przez Boga.

Powstaje pytanie, czy doskonalimy się w procesie owych działań. Okazuje się, że wciąż towarzyszą ludzkości takie same negatywne przejawy. Nie zmniejsza się ilość popełnianego zła. Narasta przekonanie, że w miarę upływu dziejów ludzkości – doskonalili się jedynie prawo. Powstrzymuje ono walkę, która toczy się między jednostkami. Dzięki prawu, przynoszącemu poczucie bezpieczeństwa, możemy się oddawać działaniom uczłowieczającym, a więc kierującym nasze wysiłki ku ideałom.

Nie deklaracje słowne, lecz czyny świadczą o wymiarze danego człowieka. A więc nie siła rozumu jest rozstrzygająca lecz sens działań i ich motywy.

Niepokoje, które dręczą nas w życiu społecznym są różnego rodzaju. Najogólniej można je zaklasyfikować bądź do tych, które wzmagają w nas bierność i niechęć do podejmowania czynów, bądź do – pobudzających twórczo. Te ostatnie potęgują czynną postawę i poszerzają horyzont myśli i odczuć. Stają się pobudką różnorodnych wysiłków. Niepokoje twórcze mocniej wiążą więc nas z innymi, bo działając nawiązujemy więzi. Wykraczamy poza niebezpieczne dla zdrowia psychicznego stany zasklepienia się w wąskim kręgu egoistyczno-rodzinno-materialnych problemów.

Obłuda wiąże się też ściśle ze sferą przeżyć erotycznych. Udajemy – zgodnie z dominującą obyczajowością drobnomieszczańską – że jesteśmy ponad czy poza takimi doznaniem. A w każdym razie opinia publiczna u nas zezwala jedynie na związki heteroseksualne.

Wrogi, nienawistny stosunek do homoseksualizmu – by sięgnąć do kolejnego przykładu – prowadzi do obłudy, do ukrywania swoich właściwości. Na pytanie, dlaczego wciąż jakieś grupy w naszym społeczeństwie muszą schodzić do „podziemia” – mimo rzekomej naszej tolerancji – nie podobna znaleźć odpowiedzi.

Nienawiść i zawiść

Agresywne myśli i uczucia, niezależnie od zróżnicowanego ich zewnętrznego wyrazu, mają wspólną właściwość. Prowadzą do dysharmonii wewnętrznej i zatruwają nieraz do tego stopnia, że nabierają znaczenia chorobotwórczego. Jest to szczególnie wyraźne u tych, którzy latami kultywują w sobie nienawiść, zawiść czy zazdrość wobec innych.

Właściwa ludzkiej naturze bierność, na równi z lękliwością, powodują, że najczęściej nie czynimy zadość myślom i uczuciom agresywnym. Silną zaporę stanowi nie tylko lęk przed naruszeniem norm obyczajowych, ale również przed wejściem w kolizję z systemem prawnym. Dodać tu trzeba, że u wielu jednostek nie uleganie stanom agresywnym nie stanowi żadnej zasługi, ponieważ nie są oni w ogóle zdolni do silnych namietności i przeżyć. Znamionuje ich stan wyrównany, wzruszenie „ciepłe” nie zaś „gorące”.

Inną przeciwwagą dla czynienia zadość agresywności jest poczucie odpowiedzialności. I właśnie dlatego bywa ono tak bardzo niewygodne; ciąży, ogranicza, wymaga, zmusza do refleksji. Może nawet -w swej skrajnej postaci – tłumiać agresywność, doprowadzić do niemożności podjęcia jakichkolwiek działań. Poczucie odpowiedzialności, ta przeciwwaga narosłej w nas agresywności, czyni nas mocniej osadzonymi w życiu społecznym niż osiągają to poddający się nienawiści czy zawiści. Pozytywne myślenie jest podstawą skutecznego działania.

Wiele jest sprzeczności w życiu wewnętrznym każdego z nas. Przykładowo zatrzymam się nad jednym z objawów uczuć ambiwalentnych, które w nas drzemają i które bywają źródłem agresji. Otóż nikt z nas nie jest samowystarczalny. Poszukujemy oparcia w czymś lub w kimś poza nami: Bóg, rodzina, własna twórczość, ojczyzna, dziecko, przyjaciel – oto przykłady możliwych punktów oparcia. Ale odnajdując to poczucie bezpieczeństwa poprzez odniesienie do kogoś bądź czegoś -miewamy zarazem chwile buntu wobec tych, od których czujemy się uzależnieni. Nadmierna potrzeba wolności idzie niekiedy w parze z silnym poczuciem niesamowystarczalności. I stąd rodzi się agresja. Zdaję sobie sprawę, że przykład ten nie jest typowy, że obecnie źródła agresji znajdują się, powszechnie rzecz biorąc, na poziomach niepomiaralnie bardziej prymitywnych, bo leżących na płaszczyźnie zaspokajania potrzeb biologiczno-materialnych.

Każdy z nas na co dzień przeżywa przejawy agresji ze strony znanych i nieznanego sobie osób. Są to nader często sytuacje, w których sami nie ponosimy żadnej winy. Znużenie trudami codzienności i błahością, ale zarazem dotkliwością związanych z nią przejawów agresji sprawia, że uwagę pragnę tu skoncentrować na sprawach wyższego rzędu. Na tych, które dochodzą do głosu wtedy, gdy podejmujemy trud wewnętrznego rozwoju i gdy ulegamy człowieczej potrzebie refleksji nad własnym istnieniem.

Najbardziej dotkliwym skutkiem przeżyć nienawiści czy zawiści jest stan osamotnienia jednostek, które ulegają takim myślom i przeżyciom. Nacisk obyczajowości jest tak silny, że uczucia zawiści czy nienawiści na ogół skrywamy. Tendencje agresywne są zapewne równie częste, co postawy życzliwości, przyjacielskości, miłości. Ale uczuciami pozytywnymi możemy swobodnie dzielić się z innymi. Nienawiść i zawiść skrywamy w sobie.

Silne uczucia mają właściwość scalania naszej psychiki. Miejsce różnorodnych odcieni uczuć i doznań, przeciwstawnych tendencji, niepokoju, wątpliwości etc. zajmuje jedno integrujące uczucie. Z tego punktu widzenia mechanizm oddziaływania tych negatywnych stanów przypomina wpływ miłości, która również bez reszty nas przenika. Podkreślam, że

idzie mi o mechanizm oddziaływania tego, co przeżywamy i że powstrzymuję się, pisząc te słowa, od wartościowania.

Zagadnienie uczuć agresywnych wiąże się z silnym uczuciowym kontaktem ze światem, w tym z innymi ludźmi. A inną jest już sprawą, czy treść takiego stosunku, nasycona nienawiścią lub zawiścią, oceniana jest negatywnie w kategoriach moralnych. Trzeba pamiętać o tym, że niektórzy myśliciele proponowali wykraczanie poza kategorie ocen moralnych, które jako zbyt wąskie nie mogą prowadzić do prawidłowego rozumienia zjawisk. I jeśli na przykład bardziej cenić skuteczność działania niż troskę o jego ocenę z punktu widzenia kategorii dobra i zła, to trzeba by sięgnąć do korzeni tego poglądu, do Machiavellego. Mianowicie twierdził on, że w uczuciach patriotycznych nie należy doszukiwać się wartości moralnych. Przesycone agresją, nienawiścią do wroga, mają tę zaletę, że uruchamiają niezawodnie człowieka do działań.

Przeciwieństwem nienawiści, wbrew utartym poglądom, nie jest miłość lecz empatia. To odkrywcze stwierdzenie zawiera książka Juliana Aleksandrowicza zatytułowana „Nie ma nieuleczalnie chorych”. Najzupełniej się z tym zgadzam. Przywykliśmy już do pary przeciwstawnych pojęć: miłość i nienawiść. Bez zastanowienia gotowi jesteśmy uznawać ten pogląd za słuszny. A trzeba pamiętać o wieloznaczności pojęcia miłości. Mówi się wszak o miłości erotycznej (do tej samej płci lub odmiennej), o miłości do ojczyzny, do rodziców, do ciotek, do dzieci, do rodzeństwa, o miłości do idei. Gdybyśmy więc traktowali nienawiść jako stan przeciwstawny miłości, zgodnie z utartym schematem myślowym, to należałoby przynajmniej wyraźnie określać, o którą miłość chodzi.

Nienawiść w każdej swojej postaci, podobnie jak zawiść, wyłącza nas z poczucia więzi z innymi. A więc te agresywne uczucia niszczą i tak wciąż zbyt kruche związki międzyludzkie. Z uczuć tych zdajemy sobie mocniej sprawę, gdy zdobywamy się na wysiłek szczerości wobec samych siebie. Dochodzi bowiem ona do głosu nieraz wobec krewnych. Ostra cenzura obyczajowości prowadzi nieraz do wewnętrznego zakłamania. Ale utajona, nawet przed samym sobą, nienawiść czy zawiść żyje dalej. Draży psychikę człowieka i prowadzi często do zagrożenia zdrowia psychicznego.

Uczucia agresywne pomagały przetrwać niejednemu człowiekowi trudne lata obozów czy więzienia. Nienawiść do wrogów bywa siłą powstrzymującą i pozwalającą przetrwać najgorsze. By znaleźć potwierdzenie tych słów, wystarczy sięgnąć do obfitej literatury ostatniej wojny, czy też – co jest jeszcze bardziej pouczające – rozmawiać z tymi, którym nienawiść do wroga umożliwiła przetrwanie. Temat ten podejmują pisarze. I z niejednego dzieła literackiego wynika wyraźnie, że drzemiące w nas uczucia agresywne, a w tym dążenie do podporządkowywania sobie innych, wyrwywają nas ze stanu ociężałości. Są znakomitą szkołą działania.

Oczywiście pogląd taki burzy powszechnie utrwalony sąd o rzekomo społecznym charakterze ludzkiej natury. Być może należy przyjąć, że każdy z nas zdolny jest do tych uczuć, które, notabene, potępia. Czy dojdą one do głosu w życiu określonego człowieka, zależy to, jak sądzę, od dwóch podstawowych czynników. Od sytuacji granicznych, trudnych, w których właściwie sami dopiero poznajemy siebie. Nie każdy ich doświadcza. Bywają istnienia pozbawione silnych wstrząsów i sytuacji skrajnych. Drugim czynnikiem jest zdolność do wewnętrznego rozwoju.

Jeśli ktoś pracuje nad sobą, to ulegając tym groźnym uczuciom wkłada wysiłek w ich uszlachetnienie, prowadząc aż do przewyciężenia. Byłoby błędem mniemać, że można obronić się przed takimi przeżyciami. Natomiast niewątpliwie można, pod warunkiem trudu i wysiłku, uchronić się przed daniem upustu zawiści i nienawiści.

Pisarze w dziełach literackich podejmują, jak sądzę, częściej problem miłości niż nienawiści i zawiści. O nienawiści jako sile scalającej silnie osoby darzące się tym uczuciem napisał znakomity dramat August Strindberg. Jeśli penetrować zakamarki duszy ludzkiej w

sposób pozbawiony zahamowań, to można w wielu związkach usankcjonowanych i oficjalnie uznawanych doszukać się niemałej dozy odczuć negatywnych. One wiążą nie mniej silnie, jak uczucia miłości.

Przeżywanie uczuć negatywnych, zwłaszcza ostrych i nieodwołalnych w swoim wyrazie, jak nienawiść i zawiść, budzi u wielu poczucie wstydu. Są one bowiem powszechnie potępiane i nacisk obyczajowości skłania do ich zatajania. Nawet wobec samych siebie nie zawsze chcemy się przyznać, że przeżywamy to, co inni uznają za naganne. Często dopiero dążenie do prawdy w relacjach człowiek – człowiek i związane z tym penetrowanie psychiki, jej zakamarków, pozwala poznać to, co tak chętnie tłumi się przed sobą i przed innymi. Presja czynników powściągających jest niezmiernie silna. Właśnie rozmaite techniki psychoterapeutyczne pozwalają odkryć to, co stłumione. Pozwalają odrzucić tresurę społeczności, która narzuca jako wzór właściwych zachowań postawy życzliwości, czy tzw. miłości bliźniego.

Nie wszyscy należą do osób silnie reagujących uczuciowo na przejawy świata i kontakty z innymi ludźmi. Ale w życiu każdego zdarzają się momenty szczególnie silnych reakcji uczuciowych. I właśnie wtedy szuka się we wzmożony sposób kontaktu z innymi ludźmi. Zwłaszcza gdy w grę wchodzi negatywne przeżycia. A więc nawet tak zwani „letni” ludzie, to jest nie cieszący się zbyt mocno, ale nie cierpiący głęboko – bywa, że w pewnych momentach pragną komuś wyznać skłębione w nich uczucia.

Wtedy przełamana zostaje nieufność, panująca dzisiaj często nawet w gronie, zdawałoby się, bliskich znajomych. Inny człowiek pełni wtedy rolę spowiednika, czy raczej psychoterapeuty. Interesujące, że związki takie – inaczej niż w wypadku kontaktów z zawodowymi psychoterapeutami – bywają na ogół nietrwałe. I to budzi często głębokie zaskoczenie. Bo wydawałoby się, że ten, komu się zwierzamy, jest kimś dla nas szczególnie cennym i wybranym spośród wielu, wielu innych. Tymczasem po takim obdarzeniu go naszym wewnętrznym skłopotaniem, często wstydzimy się chwili naszej otwartości i powodowani niewdzięcznością unikamy dawnego rozmówcy.

W takich rozmowach-wyznaniach drugi człowiek ma dla nas znaczenie, o ile umie nas słuchać. Ale samozakłamanie podpowiada, że owego „spowiednika” darzymy przyjaźnią. Wiele jest wokół nas takich związków pełnych niesprawiedliwości, bo sprowadzających się do wykorzystywania delikatności, wrażliwości i taktu strony bardziej subtelnej. Wiele też jest pozorów zażyłości w kontaktach międzyludzkich, w których łącznikiem stają się wzajemne opowieści o kłopotach z dziećmi, z zakupami, czy też w pracy. Jeszcze inny typ rozmów przynoszą popołudnia czy wieczory przy telewizji, kiedy to wyrzucamy z siebie jakieś pojedyncze słowa-komentarze do oglądanych obrazów. Mają one stanowić wyraz łączności oglądających określony program. Ale w rzeczywistości rozpraszają one uwagę i w rezultacie te rodzinne posiedzenia telewizyjne prowadzą do pozornych więzi i do nieuważnego odbioru nieraz wartościowych programów. Tworzy się faktyczna izolacja i powierzchowna relacja z innymi ludźmi.

Tęsknota i żal

Niespełnione oczekiwania, a nawet rozczarowania, mogą stawać się, mimo wszystko, pożywką nadziei. Ale zarazem na ich podłożu wyrasta nostalgia. Ten, kto stara się nie przywiązywać ani do miejsc, ani do ludzi, przeżywa mniej przykrych doznań. Nie ogarnia go nostalgia.

Czas wakacji, czas wolny od wielu ciężących obowiązków, pozwala na refleksję nad własnym życiem. Wówczas pojawiać się może przeżycie niespełnienia. W kołowrocie zajęć mniej jest miejsca na takie nastroje. Pobyt nad morzem, odczucie jego potęgi i nieskończonej dali sprzyja takim stanom.

Wyznam, że ilekroć podziwiam rozległe łąki Lubelszczyzny, nasuwa mi się skojarzenie z pewnym opisem Sartre'a. Oto ktoś upaja się pięknem trawy i odczuwa rodzaj smutku wynikającego z niemożności podzielenia się tym przeżyciem z innym człowiekiem. Spełnia się oczekiwanie.

Pojawia się nieznajomy równie zafascynowany urodą krajobrazu. Ale wtedy, w tym pierwszym obserwatorze, rodzi się protest: oto ten, który się pojawił, zabiera mu jakby część piękna, wcześniej niepodzielnie do niego należąca. Jest to ilustracja zachłanności człowieka i zarazem sprzecznych tendencji, jakie często rodzi w nas obecność drugiego człowieka. Ale zapewne lepszy jest protest wobec kogoś, niż poczucie skrajnej nostalgicznej samotności.

Nietrwałość szczęścia, nieprzyjazny zbieg zdarzeń, naciski otoczenia, którym (żałując tego później) nieraz się poddajemy – mogą rodzić gorzkość i żal. Żal, ale do kogo? Do innych? A może do siebie? Nurtuje żal płynący z niespełnienia, bo wyobraźnia podpowiada wyidealizowany obraz możliwego biegu zdarzeń.

Wygodnie jest skierowywać żal, w formie wyrzutów i pretensji, w stronę kogoś bliskiego. Wybieramy osobę, której możemy zaufać w tym sensie, że nie odpłaci się nam tym samym. Najczęściej więc uczucie żalu w stosunku do kogoś lub czegoś przekształcamy w postać pretensji do własnej matki. Matka wobec dziecka bywa bezbronna i najczęściej z pokorą przyjmuje czynione jej wyrzuty. A poza tym jest w pobliżu.

Poczucie niewykorzystania w pełni czasu, uświadomienie sobie, że za mało wglębialiśmy się w smak mijających godzin, też budzi żal. Żal wiąże się z tęsknotą za czymś, co przeminęło w jakimś sensie bezpowrotnie. Umarli w poezji Leśmiana tęsknią za życiem na Ziemi.

Żal do siebie za popełnione błędy, to motyw powtarzający się w wielu powieściach. Bohater, po przeżytych doświadczeniach, odczuwa żal. Nie chce uświadomić sobie, że przed laty był inny niż dziś, gdy dokonuje tego obrachunku. Nie zawsze jest nam dane zaczynać od początku.

Po to, by zmniejszyć ciężar żalu, trzeba wyrabiać w sobie zawczasu siłę woli. Żal wprawdzie skierowany jest zazwyczaj przeciwko komuś lub czemuś, ale często są to obiekty zastępcze. Winimy, na przykład, innych ludzi lub okoliczności, w których przyszło nam istnieć, ale przeoczony zostaje fakt naszej nieudolności. Bo zdarza się zbyt często, że postanawiamy coś jedynie w sferze werbalnej, zamiast czynami przekształcać naszą rzeczywistość.

Poczucie żalu wiąże naszą terażniejszość z przeszłością; skierowuje nasze odczucia ku temu, co minione. Jest emocjonalnym spoiwem tego, co jest, z tym co minęło. Żal nie dotyczy przyszłości. Mówi się wprawdzie, w przewidywaniu przyszłości, że będzie mi czegoś żal, ale jest to wyrozumowana postać żalu. Taki wyobrażony żal jest inny, niż ten wyrażający się w

emocjach.

Tym, co podobnie jak żal, wiąże nas z przeszłością, jest tęsknota. Ona również, jedynie w formie, wyobraźalnej odnosić się może do tego, co ma nastąpić. Tęsknota w sensie uczuciowych zaangażowań dotyczy stanu teraźniejszego, bądź utraconej w jakiejś formie przeszłości. Tęsknić można do kogoś, kto jest nieobecny. Tęsknić można ku czemuś nieokreślonemu, czy ku chwilom, które już minęły. Podobno przeżycia białych nocy potęgują stan tęsknoty i żalu. Nie udało mi się ich, niestety, zaznać.

W znakomitym dramacie Jerzego Żuławskiego „Eros i Psyche” została oddana odwieczna tęsknota człowieka ku czemuś wielkiemu, wspaniałemu, nieznanemu. Tęsknota do czegoś idealnego. Zdarzają się też nieokreślone stany niepokoju i tęsknoty. Przejmująco zarysowuje je Szaniawski w jednej ze swoich sztuk. Bohaterka powtarza słowa, przewijające się w tym dramacie jak refren: Dal mnie wzywa.

Określenie „żal” bywa używane potocznie jako synonim pretensji do kogoś. Być może nie w doznaniach każdego pojawia się żal jako postać smutku, nostalgii. Wzmaga to zmierzch, jesień, dżdżysta pogoda, wcześniej zapadająca ciemność grudniowych popołudni. Żal nastroja refleksyjnie. Nie łatwo uporać się z takim odczuciem. Żal, smutek i tęsknota wzmagały się w Stanisławie Przybyszewskim jak sam wyznaje w nocy, kiedy wpatrywał się w biegnący po niebie księżyc. Nieokreślony stan żalu i tęsknoty może ogarnąć nagle, wywołany różnymi czynnikami. Uspiona wieś z majaczącym światłem w oknie dworu może taki stan wyzwolić.

Mało jest w naszym życiu, wypełnionym codziennymi trudami, miejsca na stany tak złożone jak żal, czy nieokreślona tęsknota. Życie czynne, wymagające mobilizacji energii, oddala od zastanawiania się nad własnymi nastrojami. Rozprasza je. Od penetrowania własnych stanów odrywa też kultura masowa, zwłaszcza telewizja. Rzadko zastanawiamy się nad sobą.

Zdarza się, że krajobraz czy utwór literacki, jak również muzyka, rodzi wspomnienie i żal za bezpowrotnie minionym spotkaniem, przeżyciem. Ale ludzie czynu nie pozwalają sobie na poddawanie się nastrojom żalu czy tęsknoty. One bowiem osłabiają, a nawet rodzą nieraz wątpliwości co do sensu podejmowanych wysiłków.

Można lękać się chwil nadmiernego wewnętrznego spokoju. Chwil, w których wydaje się, że pozostajemy na marginesie życia, którego strumień płynie gdzieś poza nami. Wtedy zjawia się lęk, że pozostaje się na marginesie prawdziwego życia.

Każdy człowiek oddziałuje na otoczenie również w sferze bezsłownej. Jedni pochłaniają naszą energię, osłabiają, a jeszcze inni podnoszą nas na duchu, wzmagają chęć czynu. Swoją atmosferą oddziałują na nas także miejscowości i mieszkania przesiąknięte myślami i odczuciami osób, które kiedyś w nich mieszkały. Annais Nin pisze w swoim dzienniku, że szukała zawsze w życiu momentów niezwykłych. W tym również i nastrojów, nawet tych niełatwych. Słusznie zwraca uwagę na to, że kobiety od najwcześniejszych lat uczone są pewnego masochizmu. A mianowicie przygotowuje się je do tego, by służyły i pomagały mężczyźnie, potem dzieciom i wnukom. Gdy tego nie czynią, to w chwilach przerwy oddają się porządkowaniu szaf, papierów, spiżarni, szuflad, jakby wierząc, że wzorowy porządek może uchronić przed chaosem uczuć i nastrojów. Powiada też autorka, że lęk w niej wzbudzało prozaiczne życie babki, bo takie istnienie oznacza śmierć wyobraźni. Annais Nin uważa, że lepsze od tego są obsesje czy stany neurotyczne, niepokoje, których jednym ze składników bywa tęsknota i żal.

Najtragiczniejszą w swej wymowie odmianą żalu i jest stan, w którym odnosimy się do samego siebie. Zdarza się tak, gdy ktoś świadomie, a zarazem bezradnie gotuje sobie los, którego potem nie może przyjąć. Jest to żal związany z trwogą, z przewidywaniem trudnych skutków własnej decyzji. Żal samego siebie rodzi się wtedy, gdy zdani jesteśmy na cudzą wolę, gdy brakuje odwagi, ażeby samemu kierować własnym życiem. Nieszczęśliwa,

niespełniona miłość wiąże się z poczuciem żalu, że oto pozbawieni zostaliśmy czegoś, co nadałoby szczególny sens naszemu życiu, a w każdym razie przyniosło upragnione doznanie szczęścia. Bohater powieści „Pulsowanie” Jana Stępnia przeżywa żal do samego siebie, bo miłość z narzeczoną przyjaciela przedłożył nad wartość przyjaźni.

Tęsknota i żal – rozpamiętywane – mogą spotęgować czy wywołać niedobry stan cierpiętnictwa. Ale trzeba też pamiętać, że pogłębiają wewnątrz. I nie bez racji wskazywał Nietzsche, że wielcy nauczyciele ludzkości mają w sobie nutę tragiczną. Jest to znamię człowieka wrażliwego o rozwiniętej głęboko uczuciowości.

Pomóc sobie

Każdy z nas ma zadanie ukształtowania siebie. Wiele zależy od naszych przemyślanych decyzji, ale wiele też – od naszych poczynań kierowanych namiętnościami, doznaniem i uczuciami. Wiele decyzji w naszym życiu jest spontanicznych, odmiennych od świadomie powziętych postanowień. Za wszystkie jednak jesteśmy odpowiedzialni. Odpowiedzialność jest tym większa, że nie tylko dotyczy nas, ale w pewnym sensie także pozostałych ludzi. To stwierdzenie nabiera wyrazistości, gdy weźmie się pod uwagę, że nikt z nas nie żyje samotnie. Wszystkie nasze czyny rzutują również i na innych.

Nikt z nas nie może korzystać z absolutnej wolności. Własną wolność trzeba godzić z wolnością wszystkich pozostałych jednostek. Jedynym sprawiedliwym rozstrzygnięciem jest przyzwolenie na takie postępowanie, które uważamy za dopuszczalne dla każdego, kto znalazłby się w całokształcie naszej sytuacji. Taki sposób myślenia prowadzi do wykluczenia uprzywilejowania samego siebie. Jeżeli ja coś mogę zrobić, to znaczy, że drugiemu na to pozwalam. Istotne znaczenie odgrywają motywy podejmowanych czynów.

Problemów, co jest dozwolone, a co zakazane, nie ma jedynie ten, kto gotów jest przyjąć jakiś usankcjonowany system moralny i ślepo mu się podporządkować. Odrzucenie autorytetów oraz gotowych wzorów postępowania wymaga poczucia głębokiej odpowiedzialności. Nie licząc splotu okoliczności, który może mieć bądź sprzyjającą, bądź utrudniającą moc jesteśmy wynikiem tego, co mocą własnej woli wprowadzamy w życie. To kształtowanie siebie przez samego siebie jest czymś podniosłym i zarazem niezmiernie trudnym. Wiąże się z niepokojem, poczuciem niepewności, z lękiem i zarazem trwałym zadowoleniem, jeśli postępujemy zgodnie z poczuciem odpowiedzialności nie tylko za samego siebie. Trzeba działać mimo wielu wątpliwości. Mają ich zapewne znacznie mniej osoby głęboko i prawdziwie religijne, które w Bogu odnajdują trwały punkt odniesienia i z konsekwencją potrafią podporządkowywać się ustalonym zasadom własnego wyznania. Ale takich jednostek jest mało. Samo bowiem deklarowanie wiary w Boga nie jest równoznaczne z psychiczną gotowością uczynienia Boga centrum własnego życia i ostatecznym punktem odniesienia.

Oskarżanie innych, w tym społeczeństwa, za nieudane życie jest absurdalnym sposobem uwalniania siebie od poczucia winy za to, że włożyło się mało wysiłku we własne istnienie. Obowiązki wobec siebie trzeba godzić z obowiązkami wobec innych. Przerost obowiązków wobec drugiego człowieka, to forma ucieczki od odpowiedzialności za indywidualną drogę rozwojową. Niezależnie od tego czy przyjmuje się istnienie Boga, pojmowanego jako siła czy osoba, czy też jest się ateistą bądź agnostykiem -w każdym wypadku pozostaje do rozwikłania problem: ja wobec samego siebie oraz ja wobec drugiego człowieka. Nie podnoszę tu kwestii: ja wobec społeczeństwa, ponieważ twierdzę, że stosunek między jednostką a społeczeństwem wyraża się ostatecznie w relacjach między dwiema osobami.

Poczucie wolności nasuwa trud podejmowania wyborów i dlatego niejedyn człowiek odczuwa swoisty spokój, gdy zmniejsza się zakres jego swobodnej decyzji, gdy inni zaczynają decydować o jego życiu. Przestaje wtedy dręczyć poczucie odpowiedzialności. Tak sprawy się mają w systemach absolutystycznych. Wódz, czy partia rozstrzygają jednoznacznie o słuszności, prawdziwości, etc. Wolność, w imię której nieskończoną ilość razy dokonywano ofiar z własnego życia, jest czymś trudnym do spożytkowania. Dlatego egzystencjaliści pisali, że człowiek jest skazany na wolność: rzucony w sposób niezależny od

własnej woli w ten świat.

Można więc zrozumieć – ale w żadnym wypadku pochwalać – że tak wiele osób wybiera postawy konformistyczne i oportunistyczne. Zamiast odpowiedzialnie kształtować siebie i własne istnienie, wygodniej jest -zważywszy naszą bierność i niepewność – przystosować się do poglądów większości. To zwalnia od wielu decyzji. Dochodzi do głosu mimikra – nawiązując do zjawiska świata zwierzęcego – w sferze psychicznej człowieka.

Przystosowując się do poglądów i norm własnego środowiska, obiera się drogę łatwiejszą. Ale nie znaczy to, by służyła ona zdrowiu psychicznemu i rozwojowi wewnętrznemu. Stan zakłamania wiąże się z niezadowoleniem z siebie. Jedynie zgodność z sobą, czyli wewnętrzna prawda, może zapewnić zdrowie psychiczne. Ona jest źródłem zdrowia fizycznego. Zachodzi bowiem zależność odwrotna, inna niż w znanym porzekadle: „w zdrowym ciele – zdrowy duch”.

Wybranie trudnej drogi kształtowania siebie na swój własny sposób, prowadzi do uznania siebie za najwyższego prawodawcę. Wątpliwości trzeba rozstrzygać samemu. Nie zawsze jest przy nas ktoś, do kogo możemy się zwrócić po radę. Nie każdy ma przyjaciela. I dlatego zdarza się, że w trudnych, przełomowych momentach, czujemy się na tyle bezradni, że szukamy pomocy u specjalistów. W Ameryce staje się już to nawykiem. Psychoterapeuta – surogat przyjaciela – może pomóc. Ale którą metodę – wraz z odpowiadającą jej teorią - wybrać? Przewodniki psychoterapeutyczne wymieniają blisko 50 metod. Oczywiście u nas nie ma tak bogato rozbudowanego poradnictwa psychoterapeutycznego. Dodam, że te metody nie dotyczą ludzi chorych psychicznie, lecz ludzi tzw. zdrowych.

Działalność o charakterze psychoterapeutycznym podejmują czasem artyści, dzięki swej wrażliwości, intuicji i umiejętności wczuwania się w problemy drugiego człowieka. Przez pewien czas udzielałam porad w Laboratorium Higieny Psychiczej, założonym w Warszawie przez Jerzego Grotowskiego. Przychodziły tam często osoby uprawiające jakiś rodzaj twórczości i przeżywające kłopoty wynikłe z niemocy twórczej.

Kłopoty ze sobą, jak również kłopoty z otoczeniem, miewa każdy z nas. Ażeby temu zaradzić, trzeba lepiej poznawać siebie i uczyć się sterować własnym życiem. Nie ma jednakże szkół kształtowania charakteru. Nie ma kursów podnoszących uczuciowe reakcje na wyższy poziom. Każdy, będąc zdany na siebie, odkrywa na nowo dawne, odnalezione w doświadczeniu innych, stare prawdy. Każdy doświadcza podobnych błędów i omyłek, co jego praszczurowie. Każdy rozpoczyna trud od początku.

Bywa, że się jest bezradnym do tego stopnia, że trzeba szukać pomocy u specjalistów. Jednakże, jak wspomniałam, nawarstwiła się wielość rozmaitych metod psychoterapeutycznych i w rezultacie pogłębia się bezradność człowieka poszukującego pomocy. Wiąże się z tym również pytanie trudne do wyjaśnienia: kto jest uprawniony i pod jakimi warunkami do – wyjątkowego przecież – przywileju przekształcania psychiki innych ludzi?

Wielość teorii psychoterapeutycznych rozmaicie odpowiada na pytania, co leczyć w człowieku, jak leczyć i co należy uznać za stan normalny. Sprawa ta jest zawiła również i dlatego, że większość psychiatrów i psychologów jest przekonana, iż wyraża prawdę nie tylko o człowieku chorym, ale o człowieku w ogóle. Zdarza się zresztą, i to nierzadko, że ci, którzy zajmują się leczeniem innych, sami bywają bezradni wobec problemów własnego życia.

Pomoc duchowa nie może mieć wyraźnych przepisów. Nie można z góry przewidzieć, która metoda psychoterapeutyczna doprowadzi w danym przypadku do oczekiwanego wyniku. Zależy to w znacznej mierze od cech indywidualnych człowieka poszukującego pomocy (czyli tzw. klienta), od jego problemów, od warunków, w których stosuje się daną metodę, od cech indywidualnych terapeuty i wreszcie od relacji, która wytworzy się między terapeutą a klientem.

Stosunek zachodzący między klientem i terapeutą stanowi model stosunku z innymi

ludźmi. Klient i terapeuta wzajemnie się uwarunkowują. Spotkania klientów z psychoterapeutą wiążą się z oczekiwaniami, nabierają charakteru uczuciowego, wiążą się z odcieniami sympatii, a nieraz z antypatią. Są poglądy, w myśl których należy koncentrować uwagę nie na tym powiązaniu, lecz na stosowanych technikach. Stosunek klient-terapeuta jest wysoce złożony i zawiera właściwość decydującą o wyższości tej relacji nad innymi spotkaniami międzyczłowieczymi: mianowicie można wyznać odważnie własne słabości bez obawy, że się zostanie odrzuconym czy potępionym. Pozycja psychoterapeuty, siła jego oddziaływania, tworzy stan zależności. Terapeuta nie jest jednak ani ojcem, ani niby-partnerem klienta, choć niektórzy poszukując pomocy wytwarzają sobie takie iluzje.

Psychologia głębi dostrzega przyczyny zakłóceń w dzieciństwie, zaś humanistyczna psychologia koncentruje uwagę na aktualnych formach urazów psychicznych. Psychologia humanistyczna ujmuje więc człowieka w jego terażniejszości. Nie zawsze – zdaniem przedstawicieli psychoterapii humanistycznej – wnikięcie w historię czyjś dzieciństwa może być pomocne. Nie mniejsze znaczenie, niż uszkodzenia z okresu dzieciństwa, mają tu warunki żywienia, mieszkania i nieświadome, emocjonalne konflikty.

Tworzenie siebie przez samego siebie jest sztuką trudną i żmudną. Umiejętność tę nie każdy umie czy chce w sobie odkryć i wypracować. Jest to sztuka niedoceniana.

Najczęściej przyznaje się wartość temu, co materialne i temu, co ma służyć zdobyciu hierarchicznie wyższej pozycji w życiu społecznym. A zajmowanie owych miejsc w hierarchii społecznej bywa często nie współmiernie wysokie wobec nikłości tego, co dany człowiek osiągnął w swoim rozwoju wewnętrznym.

Człowiekiem się stajemy. Rozwijamy w sobie człowiecze właściwości w miarę uczestniczenia w świecie wartości kulturowych. Oczywiście, nie każde uczestnictwo prowadzi do pożądanых zmian. Oddziałuje na nas świat przyrody, oddziałują ludzie oraz świat kultury. W tym ostatnim napotykamy najróżniejsze teorie i dobrze się dzieje, gdy możemy podlegać oddziaływaniom wielorakim. Ci, którym przyszło kształtować się pod wpływem jednego tylko zespołu poglądów, przypominają manekiny, pod powłoką których żarzy się stłumiony ogień.

Tylko w wypadku oddziaływania różnorodnych prądów filozoficznych, artystycznych etc., można poznawać głębiej własne ja i kształtować siebie nie według wzoru obowiązującego w środowisku, w którym upływa nam życie – lecz według wzoru, który nam rzeczywiście odpowiada. I tu powstaje problem znalezienia kogoś, kto by przybliżył różnorodne i często przeciwstawne teorie.

Najkorzystniejsza jest sytuacja, w której pełniemy sami w stosunku do siebie rolę terapeuty i w tym również – wolno mi mieć tę nadzieję – może się stać przydatna ta książka. Być psychoterapeutą w stosunku do siebie, to znaczy ulegać jakby rozdwojeniu wewnętrznemu; być dla siebie zarazem przedmiotem penetracji oraz kimś podejmującym decyzje wewnętrznych przekształceń w kierunku uznanym przez siebie za prawidłowy. Uczy tego w swojej psychoterapii przez rozwój Kazimierz Dąbrowski. Kierował on wspomnianym Laboratorium Higieny Psychiczej.

Rozwikłanie kłopotów z samym sobą wymaga namysłu, skupienia, refleksji nad przeżyciami, przemyśleń i wyboru drogi doskonalenia się. Wymaga namysłu nie tylko nad samym sobą, ale również i nad naszym stosunkiem do innych ludzi. Pozostajemy wszak nieustannie w najrozmaitszych powiązaniach z różnymi ludźmi; dorośli – dzieci, zwierzchnik podwładny, starzy duchem – młodzi duchem, znajomi, przyjaciele, rodzina, przypadkowo spotkani ludzie. W tych relacjach zaznacza się różny stopień więzi emocjonalnej. Dochodzi też do głosu relacja człowieka do świata rzeczy.

Prawidłowe ułożenie stosunku do samego siebie wiąże się z rozwikłaniem stosunku do drugiego człowieka. Jeżeli nie zrodzi się w nas bunt, mający na celu obronę własnego indywidualnego ja, to ulegniemy nadmiernie wpływom innych. Otoczenie, w którym się

wzrasta, chce nas urabiać po swojemu. Łączy się z tym nacisk systemu edukacyjnego, który również pragnie kształtować nas i nasz sposób myślenia w sposób charakterystyczny dla ogółu. Piętno swoje odciska na nas zastana kultura, panujące w niej modele. Wpływ ten jest tym większy, że codziennie powtarzający się. Kultura masowa wdraża się w nas nieustannie.

Ocalenie samego siebie wymaga buntu wobec tego, co uchodzi powszechnie za właściwe i obowiązujące. Wymaga buntu wobec wartości pozornych, jak i tych, które są odległe od naszej struktury psychofizycznej. Rzadko, bardzo rzadko ma rację większość. Nie wolno więc bezkrytycznie poddawać się temu, co powszechnie wyznawane.

Autoanaliza, czyli poznawanie samego siebie, pogłębia się przez kontakt z ludźmi. Praca nad sobą i rozwijanie własnych cech indywidualnych wymaga „przekuwania” naszych poglądów w czyny. A działania wiążą nas z innymi. W prawidłowym ułożeniu kontaktów zarówno z sobą, jak i ze światem, nie należy dopuszczać do prymatu rozumu, lecz doceniać wartość intuicji, doznań i przede wszystkim uczuć. Żyjemy w epoce, która skłania do nieujawniania uczuć i nie docenia walorów rozwoju emocjonalno-wolitywnego. A przecież procesy rozumowe sprzęgnięte są ściśle z uczuciowymi. Wychowanie i szkolnictwo koncentrują uwagę na sferze intelektualnej. Dlatego na co dzień każdy z nas jest osamotniony w wysiłku podnoszenia reakcji uczuciowych na wyższy poziom i ochrony świeżości doznań.

Mistrz nauczyciel

Znamienne, że ci, którzy kończyli szkoły przed wojną lub w pierwszych dziesiątkach lat powojennych, z reguły zachowali w pamięci „swojego” nauczyciela. Więż wielu wychowanków utrzymuje się dalej z wybranym nauczycielem, mimo upływu lat. Jest on nierzadko „spowiednikiem” i na pewno tym, kto zaszczyił określone wartości, a zdarza się, że i ukierunkował życie, choćby odkrywając talent.

Przed drugą wojną światową szkoły średnie i uniwersytety przypominały naczynia ściśle ze sobą zespolone. Nauczyciele szkół średnich odznaczeni się starannym przygotowaniem pedagogicznym i wszechstronnym poziomem wiedzy, chociaż ich, formalnie biorąc, wykształcenie ustępowało temu, którym mogą się poszczycić dzisiejsi nauczyciele. Wielu z dawnych pedagogów jest do dziś pamiętanych i otaczanych czcią przez wychowanków, by wymienić tu przykładowo Jadwigę Reutt, przełożoną pensji Zyberk-Platerówny.

Zastanawiające, dlaczego nowe pokolenia coraz rzadziej wiedzą, co to znaczy mistrz-nauczyciel. I rzadziej też słyszy się, dodam na marginesie, o obdarzaniu miłością nauczycielek ze strony uczennic – zjawisko opisywane wielokroć w literaturze i filmowane.

Być może dewaluacja rangi zawodu nauczycielskiego przyciąga do niego osoby przypadkowe. Trzeba bowiem pamiętać, że po odzyskaniu niepodległości w Polsce, w 1918 roku, do tego zawodu garnęli się ci, którzy mieli poczucie misji. Ci, którzy pragnęli zaszczyić polskość w odrodzonej ojczyźnie i nauczać nowe pokolenie. Wśród nich byli i tacy, którzy nie musieli pracować, ale wzorem Siłaczki, traktowali swoją nauczycielską pracę jako posłannictwo.

Niska ranga zawodu nauczyciela, niski poziom wyższych szkół pedagogicznych, przygotowujących do nauczania w szkołach oraz pozamerytoryczne kryteria przydatności do zawodu, uczyniły i czynią ogromne straty. Nauczyciele powinni stanowić grupę uprzywilejowaną w państwie – oni wszak kształtują mentalność jednostek.

Jakże ciężko rozwijać się i znajdować miejsce w świecie dorosłych, gdy brak jest nauczycieli – wychowawców, budzących zaufanie i podziw! Najczęściej buntujemy się wobec rodziców, dziadków i skorzy jesteśmy bardziej słuchać rad tych, których możemy i chcemy *uznać* za swoich mistrzów. Zubażająca jest więc sytuacja, w której nie odnajdujemy takiego oparcia. I smutno jest, odwracając się na chwilę wstecz, nie dostrzegać w swoim życiu nauczycieli o wyrazistych indywidualnościach – autorytetów. Niezbędne są żywe wzory. Nie wystarcza mądrość wyniesiona z książek.

W nauczaniu – nakierowanym wprawdzie na rozwijanie umysłu – istotną rolę odgrywa kontakt pozasłowny. Już w 1915 roku Władysław Witwicki stwierdził, że kto nie ma „szczypty artyzmu w sobie, ten nigdy nauczycielem być nie potrafi”. Klasa czy sala wykładowa to w pewnym sensie widownia teatralna. Ale nauczyciel bywa w sytuacji trudniejszej niż aktor, który wypowiada kwestie na ogół elektryzujące słuchaczy. Ci wyłapują natychmiast fałsz. Jakże wiele wymaga więc wysiłku, by przekazać nowym uczniom w świeży sposób, prawdy już wielokrotnie nauczone.

W każdej dziedzinie nauki, sztuki, czy rzemiosła niezbędny jest ktoś, kto wprowadza w pewne tajemnice. Niejeden inżynier wiele zawdzięcza majstrowi, który nauczył przekładać wyuczone teorie na język praktycznych zadań.

Mistrz nie musi więc pod każdym względem górować nad swoim uczniem. Ale inaczej dzieje się w szkole i na uniwersytecie, to znaczy wtedy, gdy zaczynamy dopiero wstępować

na drogę wiedzy.

Nie tylko poziom rozwoju intelektualnego, ale również rozwój uczuć i charakter decydują o wartości nauczyciela. Dużo można wprawdzie nauczyć się w jakiejś dziedzinie od inteligentnego i wykształconego psychopaty, jakich zresztą jest wielu w naszym społeczeństwie. Ale mistrzem, od którego czerpie się wiedzę o tym jak żyć, może być tylko ktoś odznaczający się wyrazistą indywidualnością, wysoką uczuciowością i zaświadczający czynami prawdę głoszonych poglądów. Zyskali w swoim życiu wiele ci spośród nas, którzy mieli szczęście obcować z takimi nauczycielami. I trzeba podkreślić, że nie ci trafiają do uczniów, którzy im schlebiają, pozornie się z nimi bratając, nie ci, którzy szukają poklasku i popularności – ale nauczyciele o wykrystalizowanej indywidualności, o nastawieniu konsekwentnie i sprawiedliwie wymagającym, a równocześnie życzliwi i pełni entuzjazmu dla treści, których uczą.

Wobec świata kultury

Będąc w Wiedniu oglądałam filmy dokumentalne z okresu panowania Hitlera. Na jednym z nich zostało utrwalone palenie książek w 1933 roku. Ze wstydem przyznaję, że widok płonących dzieł przyniósł mi na chwilę rodzaj ulgi. Poczulałam radość, że oto całe stopy ciężących mi, bo nie przeczytanych dzieł, zamieniły się w ogień. Przeżycie może tym silniejsze, bo wcześniej wiele godzin spędziłam w bibliotece i przeżyłam, któryś raz z rzędu, przytłoczenie bezmiarem tomów, których zapewne nigdy nie zdołam nie tylko zgłębić, ale nawet przejrzeć.

Wydaje mi się, że poczucie nadmiernego ciśnienia świata kultury potęguje się, zwłaszcza w XX wieku. Bo wynalazkiem naszego stulecia jest kultura masowa i ona do reszty wzmaga nasze zamknięcie się w obrębie świata kulturowego. Chcę przez to powiedzieć, że w stopniu nieznanym poprzednim wiekom staliśmy się uzależnieni od świata stwarzanego przez nas samych.

Świat przyrody staje się wtórny w stosunku do świata kultury również i dlatego, że sposób pojmowania świata przyrody jest zależny od rozwoju nauk – elementu świata kulturowego. Zdobycze techniki pozwoliły nam w dużym stopniu uniezależnić się od tego, co naturalne. Ale staliśmy się całkowicie bezbronni wobec nadmiaru tego, co sami powołujemy do istnienia, a więc świata kultury. I to zaczyna nas niszczyć. Za mało w tym świecie samotności, czyli namysłu nad sobą, własną drogą życiową i sensem prowadzonego sposobu życia. Za mało niezależności od tego, co zewnętrzne. Ulegamy równie łatwo istotnym, co i fałszywym wartościom świata kulturowego.

Brakuje nam coraz bardziej odwagi, by istnieć na swój własny sposób. Czując się osamotnionymi drobinami uniformizującej się kultury, stajemy się coraz bardziej osamotnieni i bezbronni wobec jej penetracji w głąb naszej psychiki. Zarazem odzywają się w różnych punktach globu tendencje nacjonalistyczne i fanatyzm religijny prowokujący wojnę. Mitem się więc staje nawet i to, że jesteśmy częścią wielkiej ogólnoludzkiej rodziny.

Rozwijające się nauki wciąż nie umieją wyjaśnić nam zagadnień najbardziej żywotnych z punktu widzenia jednostkowego istnienia. Coraz głębiej zdajemy sobie sprawę z niedoskonałości wiedzy naukowej – a jednak ją nadal kultywujemy. Wśród mitów i rozmaitych nie sprawdzonych wierzeń naukowych staramy się rozwikłać problemy własnej egzystencji, posługując się niedoskonałym narzędziem, jakim jest nasz rozum – wierząc zarazem złudnie w jego potęgę.

Ze sprzeczności i tragicznych uwikłań człowieka XX wieku zdają sobie sprawę może najwyraźniej artyści. Niektóre zresztą prądy w sztuce głoszą, że należy powstrzymać gigantycznie już rozbudowany świat kultury i przestać powoływać do życia nowe przedmioty. Przedmiotami sztuki mają być przedmioty codziennego użytku.

Sztuka kontekstualna, o której pisał wnikliwie Jan Świdziński w swojej książce, przeciwstawia się wyłączeniu sztuki z rzeczywistości. Przedstawiciele tego prądu artystycznego nie tworzą gotowych przedmiotów. Pragną nadawać już istniejącym nowe znaczenie. Zwracają uwagę na to, że istniejemy wśród przedmiotów, których znaczeń nie znamy i pośród znaczeń, które nie mają odpowiadających im przedmiotów. Sztukę pojmują jako działanie, jako moment procesu nie kończących się zmian. Już Breton czy Duchamp wykazali, że każdy przedmiot może oznaczać sztukę, jak i przedmiot czysto użytkowy.

Prądy w sztuce, które codziennym przedmiotom nadają znaczenie dzieł sztuki, wyrastają z

pewnego znużenia nadmiarem treści kulturowych, przy czym dochodzą do głosu dwie tendencje: (1) próba włączenia tego, co codzienne do dziedziny sztuki, jak na przykład w happeningach oraz (2) dążenie do uczynienia ze sztuki rzeczywistości. Elementaryzm Antoniego Moniuszki nawołuje do tego, żeby tworzyć sztukę, która przenikałaby życie. Głosi swoisty powrót do tego, co naturalne, do przyrody. Zwraca uwagę na fizyczność sztuki, na to, że tworzywo kreuje sztukę. I właśnie należy kontemplować tworzywo, umieć wyraziście czuć opór tego, co zewnętrzne. Sztuka to swoiste przeżywanie świata, podziwianie tego, co już dane. Elementarystę przenika poczucie nienasycenia istnieniem, a sztuka staje się swoistym podziwem dla tego, co już jest dane. Elementarysta pragnie przede wszystkim kontemplacji. Stara się uwolnić od potrzeb życia, a nawet od potrzeby tworzenia dzieł sztuki. Przeżywa i odczuwa związek z kosmosem, z powietrzem, wodą, ogniem, gliną, ze światłem, mrozem, miłością, śmiercią. Sztuka w znaczeniu tradycyjnym nie jest niezbędna. Natomiast nieodzowna jest wolność. Znaleźć ją można, jak to określa Antoni Moniuszko, w szczelinie między siłami biologii a pragnieniem rozumienia siebie w świecie. Elementaryzm wyrasta niewątpliwie z nieufności do idei, które niejednym raz okazywały się kłamliwe. Wyrasta z zaufania do tworzywa, które nie jest zdolne kłamać. Zresztą istniejące dzieła sztuki, zdaniem elementarystów, także można traktować jako tworzywo. Sztuka staje się wołaniem idącym od tego, co pierwotne. Taki powrót do źródeł, do nowego odkrycia, czym jest ziemia, woda, drzewa, propagował również Jerzy Grotowski w ostatnich latach Teatru Laboratorium we Wrocławiu.

Wielu twórców nurtuje niepokój o przyszłość sztuki i literatury. Wizja Ziemi, zamienionej przez kataklizmy w jakieś wielkie rumowisko, na którym znajduje się zapewne grupa ocalałych ludzi, podejmujących na nowo trud budowy kultury i cywilizacji, nie stymuluje do podejmowania twórczych wysiłków. Budzi pesymizm. Zresztą takie nastroje zawsze powracają na przełomie wieków. Warto tu przypomnieć poglądy zapomnianego i niedocenianego po II wojnie światowej Ludwika Gumpłowicza, notabene, ojca Maksymiliana, który odrzucony przez Marię Konopnicką, odebrał sobie życie na progu jej wiedeńskiego mieszkania, o czym pisała Krystyna Kolińska. Otóż wracając do Ludwika Gumpłowicza – wykazał on, że kultura, jej określony rodzaj, po osiągnięciu swojego szczytowego rozwoju, z nieubłaganą koniecznością chyli się ku upadkowi. A więc niezmierny jest heroizm człowieka, który oddaje swoje siły tworzeniu wartości kulturowych, pomny tego, że rezultatem jego zmagania stanie się ostatecznie upadek tworzonych przezeń i inne pokolenia dzieł kultury.

A więc dochodzi do głosu tragiczna sprzeczność: człowiek po to, by wieść życie prawdziwie ludzkie i mieć poczucie sensu własnego istnienia, z niepojętych powodów musi dawać z siebie maksimum wysiłku nakierowanego na urzeczywistnianie wartości kulturowych. A jednocześnie dzieła te stają się źródłem zniewolenia jednostek, ograniczenia ich intelektualnej wolności i wiodą ludzkość ku zagładzie. Artur Honegger w książce „Jestem kompozytorem” stwierdza wyraźnie, że ludzkość zbliża się do przepaści i że dzieła, przed którymi chylimy czoła, zostaną ostatecznie zniszczone. Żyjemy w świecie przesyconym złudnymi ideami, którym staramy się służyć. Ulegamy różnorodnym modom. Wierzmy na przykład w postęp społeczny. Tymczasem narasta próżnia wokół prawdziwych nie zaś koniunkturalnych twórców kultury. Zdaniem Honeggera najwcześniej spośród sztuk przemienie muzyka, mimo że nic pozornie nie zapowiada tej katastrofy. Na razie odczuwa się przesytność muzyki, ale ten nadmiar to kompozycja – części składowe kultury masowej. W rezultacie ich nieustannego brzmienia następuje wyraźne obniżenie zainteresowań kompozycjami muzyki wyższej niż ta wchodząca w skład kultury masowej. Honegger przepowiada, że około dwutysięcznego roku uszy staną się obumarłe ze względu na hałaśliwość muzyki, której powszechnie słuchamy. Powoli nie słyszymy już półtonów ani odcieni brzmień.

Cenimy hałas. Kasandryczna wizja Honeggera może zostać odniesiona również, proporcjonalnie, do innych dziedzin świata kultury.

Przemijanie kultur, wypalanie się ich możliwości twórczych, jest faktem niezaprzeczalnym. Historia ludzkiej kultury to zarazem wiedza o tym, że po narodzinach i rozwoju – daną, określoną kulturę czeka nieuchronnie upadek. Nie tylko człowieka, ale i jego dzieło spotyka ten sam los. Śmierć. A jednak nie możemy uwolnić się od udziału w tworzeniu kultury. Popycha nas ku temu trwoga przed osamotnieniem, lęk przed śmiercią i nadzieja na przekroczenie własnych granic. I wciąż dochodzi do głosu tragicznie błędne koło: pragnąc nadać swojemu życiu wymiar ponadzwierzęcy, tworzymy dzieła kultury, które zrywają nasz bezpośredni związek ze światem przyrody. I coraz bardziej zagubieni w świecie kultury, wyrrywamy się ku temu, co naturalne, a od czego sami odeszliśmy, szukając wyższego wymiaru własnego istnienia.

Zaostrzają się różnice między tymi, którzy twórczo uczestniczą w świecie kultury, a tymi, którzy są uczestnikami tego świata w stopniu ograniczonym do kultury masowej. Rodzi się coraz bardziej wyraźna więź międzynarodowa intelektualistów i artystów. Równolegle do tego procesu rośnie przepaść między tą grupą społeczeństwa a jego pozostałą częścią. Sytuację gmatwa obraz tych, którzy z powodów snobistycznych udają, że nie są zwykłymi zjadaczami chleba. Rośnie zarazem grupa tzw. inteligencji całkowicie obojętnej wobec problemów życia kulturowego. Ich udział w świecie kultury skończył się z chwilą, gdy wchłonęli w siebie takie minimum, które pozwala im uchodzić za ludzi wykształconych. Często nawet przed sobą nie chcą się przyznać do tego, że nudne i obce są im problemy świata kultury.

Ruchy młodzieżowe Zachodu lat sześćdziesiątych wymierzone były przeciw sztucznie rozbudowanym potrzebom materialnym i wiązały się z dążeniem do przywrócenia wartości twórczego życia. Wyrażały pragnienie, by człowiek mógł być uwolniony od wartości i wyobrażeń, które faktycznie nie mają dla niego wartości. Zachęcano do odbudowania kontaktu ze światem przyrody. Wtedy to powstawały grupy awangardowe, które wystawiały sztuki poza budynkiem teatralnym. Sceną stawała się ulica i hala fabryczna. Teatr wprowadził na scenę widza, przewyżając tradycyjny podział na czynnych aktorów i biernych uczestników. Sztuką stały się wytwory cywilizacji przemysłowej. Pisarze próbowali tworzyć dzieła jakby z czytelnikami; dawali w swoich utworach różne warianty określonej fabuły. Zatarła się też wyraźna różnica między kompozytorem a wykonawcą. Większość zespołów komponowała wykonywane przez siebie utwory. Ruchy młodzieżowe słusznie atakowały niebezpieczeństwo nadmiaru informacji płynące ze środków masowego przekazu. Te ruchy kontestacyjne były trafne w swojej warstwie negacji. Ale niezbędny jest program pozytywny. Zwłaszcza że każdy z nas ma za zadanie ukształtować się na swój własny sposób.

I właśnie kształtując siebie, a więc wykraczając poza sferę potrzeb biologicznych i materialnych, nieuchronnie wkraczamy w świat kultury, który, jak słusznie pisał Gustaw Radbruch, stanowi rezultat naszych nieudolnych usiłowań, by urzeczywistnić świat wartości idealnych. Tak więc przesycony i znużony nadmiarem wartości kulturowych, wielością krzyżujących się sprzecznych często poglądów, nadmiarem informacji i ciężarem nie sprawdzonych teorii i hipotez, ciężących na naszej umysłowości – nie umiemy jednakże wyzwolić się od świata kultury. A świat ten przesycony jest niepokojem, wynikającym z poczucia odpowiedzialności za życie własne i innych ludzi. Bowiem, jak słusznie wskazywał Kant, o wartości naszego człowieczeństwa decydują podejmowane działania. I powinniśmy dokonywać czynów płynących z takich motywów, które pragnęlibyśmy widzieć powszechnie jako spełnione. A więc nigdy, w żadnym momencie swojego życia, nie możemy uwolnić się od odpowiedzialności za innych; czyny nasze sprawiają wytwarzanie się międzyludzkich więzi. Zresztą więź ta ma również źródło w naszej niesamowystarczalności i we wspólnym uczestnictwie w świecie wartości kulturowych. Trawestując stwierdzenie egzystencjalistów

powiedziałabym, że człowiek czuje się jak skazany – bo nie znajduje w tym świecie oczekiwanego szczęścia i spotyka go tu trud wyboru między przeciwstawnymi wartościami. Człowiek jest wprawdzie wolny, ale odrzucając świat kultury, bądź do niego nie dorastając, tym samym przestaje być zdolny do ucłowieczenia się.

Zależność przedmiotów kultury od człowieka różni je wyraźnie od świata przyrody, na istnienie której ani rozum, ani wola, ani uczucia ludzkie – jeśli posługiwać się dawną terminologią psychologiczną – nie mają wpływu. Toteż w niektórych teoriach chrześcijańskich tworzenie kultury bywa pojmowane jako przedłużenie aktu stworzenia. Wysoka wartość kultury wiąże się nie tylko z faktem, że w niej dochodzi do głosu to, co człowiecze. Bezsporne jest uznawanie tradycji kulturowej jako spoiwa wiążącego ze sobą pokolenia obecne z tymi, które już przeminęły.

Warto może zdawać sobie sprawę, że termin „kultura” nie ma zabarwienia wartościującego, podobnie jak określenie „kulturowy”. Tworzona kultura wykazuje związek z terytorium, jak również związek z czasem. Dzielimy bowiem kultury stosownie do regionów i epok, w których powstawały. Ma ona również wyraźny związek z grupą społeczną: inna bywa kultura chłopska, proletariacka, mieszczańska czy szlachecka. Kultura jest nie tylko faktem urzeczywistnionym, ale również ideałem, który ukierunkowuje ludzkie działania.

Kulturę określa się często jako bogactwo duchowe człowieka, przeciwstawiając bezosobowej cywilizacji. Może ona pojawić się na przykład na pustyni, a nie tylko w cywilizowanym otoczeniu. Warto zdawać sobie sprawę z tego, że ludzie jednego czasu żyją w tej samej cywilizacji i kraju, ale każdy ma swoją wyższą lub niższą kulturę. Bywa, że cywilizacja zagraża kulturze. A w każdym razie zagraża jej niedorastanie do wartości, czyli odduchowienie.

Przeciw służalczości

Obserwowana u nas obecnie postawa służalczości wobec tego, co przychodzi ze świata zachodniego, a zwłaszcza z Ameryki, jest niebezpieczna w skutkach. Ustawia nas wobec innych narodów w pozycji gorszego. Brak nam odwagi, by rozwijać filozofię, literaturę i sztukę na nasz polski sposób, wykazujący w gruncie rzeczy więcej więzi z kulturą rosyjską i niemiecką niż angloamerykańską.

Nikt nigdy nie zdobył uznania naśladowując obce wzory. Jeżeli mamy odegrać inną rolę niż spóźniony kraj kolonialny, to powinniśmy otoczyć opieką ludzi zdolnych do tworzenia wartości kulturowych. Bo przecież nie rozwojem cywilizacyjno-technicznym, lecz rozwojem humanistyki możemy zwrócić na siebie uwagę świata. Podkreślam znaczenie humanistyki, ponieważ rozwój innych nauk wymaga więcej środków materialnych.

Rzecz humanistyki, podobnie zresztą jak i innych dziedzin, z medycyną włącznie, wymaga rozwoju filozofii i jej oddziaływania -wprost i poprzez kulturę – na społeczeństwo.

W filozofii, po II wojnie światowej, wyodrębniam w Polsce cztery okresy. Pierwszy z nich, lata 1945-1949, stanowił kontynuację okresu przedwojennego, a więc dochodziło do głosu wiele szkół filozoficznych. Drugi okres, lata 1950-1956, to narastanie znaczenia marksizmu nastawionego na polemikę głównie z dominującą w czasach przedwojennych szkołą lwowsko-warszawską. Trzeci okres trwał od 1956 roku do 1989 roku. Dominował marksizm i filozofia chrześcijańska. Od 1989 roku rozpoczął się okres czwarty, w którym panuje filozofia chrześcijańska. Oczywiście, wszelkie daty otwierające i zamykające wymienione okresy mają charakter umowny.

Z pozoru mogłoby się wydawać, że objęcie władzy przez „Solidarność” doprowadziło do wyrugowania marksizmu. Tak faktycznie nie jest, bowiem zmiany zachodzące w świadomości człowieka nie są odzwierciedleniem zmian w stosunkach społecznych, politycznych, gospodarczych, kulturowych. Stąd pytanie, gdzie są profesorowie, docenci, doktorzy czy pisarze i artyści, powołujący się niedawno masowo na Marksa? Czy łatwość zmiany poglądu na świat – celem uzyskania korzyści -jest cechą typową dla naszego narodu? Gdzie szukać nauczycieli i przywódców duchowych, skoro słyszy się krytykę poglądów marksistowskich przez tych, którzy jeszcze wczoraj wydawali publikacje interpretujące problemy w sposób marksistowski.

Ograniczenie oddziaływania filozofii do jednego nurtu działa zniewalająco na obywateli. Światopogląd nie powinien być biernie przejmowany od innych, jak to się na ogół dzieje w naszym społeczeństwie. Brak oddziaływania różnorodnych nurtów filozoficznych sprawia, że ogół jest przekonany o koniecznym związku wiary w Boga z przynależnością do jakiegoś Kościoła. Innymi słowy deizm czy panteizm jest poglądem, z którego zdają sobie sprawę jedynie niektórzy. Przykłady mylnych mniemań można by mnożyć.

Jedynie w sytuacji krzyżowania się rozmaitych tendencji mogą wykrystalizować się wyraziste poglądy na świat jednostek, utwierdzonych rzeczywiście w swoich racjach. Potrzeba praktycznego korzystania z filozofii -w jej rozmaitych odmianach -wiąże się ściśle z niepokojami, jakie niesie codzienne życie. Tradycja polskiej filozofii narodowej wskazuje na związek filozofii z życiem i na to, że ma ona być przewodnikiem życia narodu.

Wcześniej ścierały się w życiu publicznym racje marksistowskie z chrześcijańskimi. Obecnie zmniejszyła się nawet wielość szkół filozoficznych w obrębie nurtu chrześcijańskiego. Reformowanie życia publicznego w Polsce trzeba rozpocząć od

popularyzowania różnorodnych treści filozoficznych w społeczeństwie, chyba że uzna się słuszność marksistowskiej tezy, iż byt określa świadomość i odłoży się troskę o kształt świadomości jednostek do nieokreślonej przyszłości powszechnego dobrobytu.

Marksizm miał oparcie w instytucji, w państwie. Filozofia chrześcijańska ma oparcie w instytucji – w Kościele i dąży też do oparcia w państwie. Doprowadziło to do sytuacji odmiennej od okresu międzywojennego w Polsce. Mianowicie marksizm i filozofia chrześcijańska po 1945 roku rozwinęły się niepomiernie silniej niż przed II wojną światową. Przed wojną filozofia marksistowska nie odgrywała w Polsce zauważalnej roli, zaś filozofia chrześcijańska pozostawała na uboczu życia filozoficznego. Katolicki Uniwersytet Lubelski był przed II wojną światową prowincjonalną uczelnią omijaną przez przedstawicieli innych nurtów filozoficznych w Polsce, chociaż niejednym z nich był katolikiem; rozdzielano starannie sferę wiary i sferę wiedzy.

Zdecydowana większość ludzi w Polsce przyznaje się obecnie do światopoglądu chrześcijańskiego – często w imię konformizmu. A zjawisku temu towarzyszą deklaracje o rzekomo pluralistycznym charakterze naszego państwa. Również w świecie literacko-artystycznym tworzy się, zgodnie z panującą atmosferą, „na zamówienie”. Powstaje nowy rodzaj twórczości. Określam tę nową tendencję w naszej literaturze mianem postkomunistycznego realizmu.

Narzekanie na los

Tak wiele zależy od nas. Od naszej decyzji i umiejętności czynnego chcenia. Dlaczego więc bierność i wygodnictwo tak często biorą górę, a my ograniczamy się do narzekań, które działają destruktywnie? Wyżalamy się na swój los, zamiast starać się zmienić coś w życiu, zamiast je kształtować mimo trudnych okoliczności. Można się przecież cieszyć tym, że istniejemy.

Kruchość zdrowia, zbyt mały wpływ na długotrwałość życia, nieustanne zagrożenie nieszczęściami -wszystko to powinno wyrabiać w nas umiejętność przeżywania codziennie od nowa radości, że w ogóle żyjemy. Tej radości nikt i nic nie może nam odebrać. Nawet na pogrzebie kogoś bliskiego przeszywa nas tłumione, ale radosne odczucie, że przecież jeszcze żyjemy.

W miarę upływu czasu kruszy się krąg bliskich i najbliższych, stanowiący coś w rodzaju oazy. Uświadomienie sobie tego intensyfikuje stosunek do przyjaciół, do osób, które lubimy i kochamy. Wiele życiodajnych sił możemy zyskać, gdy zamiast postawy obserwatora drugiego człowieka, zajmiemy wobec niego postawę bardziej czynną.

Poznawanie ludzi daje wiele tym, którzy poszukują w innych czegoś więcej niż tylko luster, w których mogliby oglądać kolejne odbicia własnych twarzy. Kiedyś, w czasie wakacji w Nałęczowie, do mojego stolika w kawiarni przysiadła się znana z widzenia pani. Wyjęła z torebki budzik i ograniczona terminem zabiegu opowiedziała mi historię swoich nieudanych miłości. Budzik zadzwonił, wstała i pożegnała się. Nie rozmawiałam z nią nigdy więcej. Nie o takie kontakty chodzi.

Każdy odczuwa potrzebę dzielenia się z innym człowiekiem własnymi przeżyciami. Ale naszych sił psychofizycznych nie umacnia, ani nie pogłębia więzi z innymi, sprowadzenie nas do roli biernego świadka. Znużona powszechnym obojętnym narzekaniem – zastanawiam się czasem, czy krytykowany przez wielu amerykański sposób życia, oparty na nakazie uśmiechu, nie ma jednak głębszego sensu? Na tamtym kontynencie, jeżeli wierzyć tym, którzy piszą o amerykańskich obyczajach, źle byłby widziany ktoś, kto wylewałby z siebie opowieści o własnych niepowodzeniach i kłopotach. A u nas? Narzekający – jak wspomniana pani w kawiarni – nie oczekuje na ogół naszej pomocy. On chce się tylko wyżalić. Przed takimi, odbierającymi nam siły życia, spotkaniami należy się bronić.

Nasze życie zaprawione jest zbyt małą dawką buntu i zbyt wielką skłonnością przystosowywania się do tego, co powszechne i z pozoru konieczne. Aby ciekawiej i pełniej żyć, nie można godzić się na kompromisy i biernie naśladować sposób życia innych.

Warto włączać się w sprawy ogólniejsze. Ograniczanie się do rodzinnego kręgu i problemów własnej egzystencji osłabia rytm życia. Ale wyjście poza te ramy wymaga wiary w siebie, a nawet przewycięzania samego siebie. Znany psychiatra i psycholog, Kazimierz Dąbrowski, nauczał, że każdy człowiek powinien przekraczać własne cykle biologiczne, by nie poddawać się przemijaniu.

Poczucie osłabienia, odpływu sił psychofizycznych, wynika często z nadmiernego egocentryzmu, jak również ucieczki od siebie w stan poświęceń wobec innych. Taka postawa odbiera człowiekowi ważne źródło radości. Pisząc o egocentryzmie mam na myśli szczególną jego odmianę. Idzie mi o człowieka pozbawionego innych zainteresowań, niż te dotyczące spraw materialnych. Idzie mi o człowieka, który nie tylko nie odkrył w sobie jakiejś pasji, ale bliźnimi interesuje się tylko wtedy, gdy w grę wchodzi elementy sensacji.

Powszechnie narzeka się na brak czasu. Głównym winowajcą naszego nieudanego życia jest jak to sobie tłumaczymy-nadmiar obowiązków. Nie żyjemy tak, jak byśmy tego pragnęli, nie spotykamy się z osobami, które lubimy – właśnie z powodu tego mitycznego braku czasu. A więc znów nie potrafimy nagiąć świata zewnętrznego do naszych potrzeb! Nonsensem jest na przykład – w myśl teorii profesora Dąbrowskiego – zgoda na starzenie się psychiczne, utwierdzana siłą konwenansów, że po skończeniu określonej liczby dziesiątków lat, tego czy tamtego nie należy robić.

Zewsząd słyszy się też narzekania, które osłabiają nas na trudności materialne. Im bardziej wzrasta stan posiadania, tym rozliczniejsze potrzeby materialne domagają się zaspokojenia. Narzekają zatem nie tylko bardzo biedni. Uwolnienie się od umęczenia, które towarzyszy dążeniu do większej zamożności, może dostarczyć nam sił, pozwalających odszukać więcej radości i szczęścia we własnym życiu.

A radość i szczęście mają się nijak do tego, co posiadamy na własność. Jak pisze Jan Stepien „żyjemy tak, jakby życie było karą, a przecież jest ono nagrodą”.

Podjmowanie decyzji

Pozory – oto wartość – o którą większość z nas zabiega. A zarazem ceni się powszechnie demaskatorski charakter wielu utworów literackich. Na ogół bowiem ci, do których są one adresowane, nie umieją czy nie chcą zobaczyć siebie. Obłuda zarówno w wymiarze jednostkowego, jak i społecznego życia w najmniejszym stopniu nie chce ustępować. Poszczególne pokolenia nie uwalniają się od niej. Obecnie przenika ona nawet do przyjacielskich związków, stawiając tę więź pod znakiem zapytania. A więc obłuda w związkach z wyboru, obłuda w życiu rodzinnym, obłuda w miejscu pracy, obłuda w życiu publicznym etc.

Obłuda narasta zawsze, gdy nie mamy odwagi, by głosić poglądy własne, jeżeli są one inne od tych, wokół aprobowanych. Narasta również i wtedy, gdy brakuje nam sił psychicznych, ażeby jawnie układać sobie życie w sposób odbiegający od powszechnie przyjętych schematów. Szczególnie niebezpieczna bywa siła obyczajów i poglądów, podbudowywana autorytetami religijnymi. Niedawno prowadzona i nadal trwająca jeszcze w naszej prasie polemika na temat prawnego zezwolenia na przerywanie ciąży ujawniła, że bardzo wielu katolików jest przeciwnych tradycyjnemu, anachronicznemu stanowisku swoich władz kościelnych. Byłoby więc logicznym następstwem takiej sprzeczności wystąpienie z kościoła z jednoczesnym, na przykład, wyznawaniem dalej wiary w Boga; zapomina się u nas, że wiarę w Absolut można wyznawać poza zinstytucjonalizowanymi wyznaniem; to tylko jeden z możliwych przykładów.

Na decyzję i postawę, w rezultacie wewnętrznej odwagi, wolną od obłudy – decydują się nieliczni, wyjątkowi. Większość pozostaje pod presją nacisku otoczenia i po to, by zadowolić własne środowisko, gotowa jest na pozorne przyjmowanie obowiązujących w nim poglądów i sposobów życia. Obłudnikami w moim przekonaniu są również – sięgając do innego przykładu – ci, którzy rozwodzą się, nadal uważając się za członków Kościoła rzymskokatolickiego. Dla jasności wyjaśniam: uważam rozwody za właściwe często rozwiązanie konfliktów, ale jeżeli uznaje się swoją przynależność do jakiejś grupy, to trzeba konsekwentnie podlegać obowiązującym w niej przepisom. Właśnie często spotykaną odmianą obłudy jest przejmowanie jakichś doktryn w sposób powierzchowny po to, by „przyszywać się do jakiegoś sztandaru”, modnego w danym okresie, odnosić z tego korzyści i nie odstawać od ogółu.

Ustroje totalitarne sprzyjają wytwarzaniu się obłudy w życiu publicznym, sprzyjają wytwarzaniu się postaw „dwóch twarzy”: prywatnej i tej na użytek publiczny, ażeby zapewnić sobie w społeczeństwie należyte wygody. Jednakże i w ustrojach demokratycznych nie brakuje obłudy, bowiem zbyt często okazuje się, że jednostki nie wiedzą, jakie są ich rzeczywiste poglądy. Troszcząc się o usytuowanie na szczeblach hierarchii społecznej, stają się wyznawcami poglądów najbardziej w danym miejscu i czasie popularnych. Zwiększa to zapewne dobre mniemanie o sobie, gdy głosi się kult osób czy wartości w danym momencie modnych i przede wszystkim uwalnia od przewartościowywania wartości na swój własny sposób.

I tu dochodzimy do sedna sprawy: wygodnictwo stanowi źródło obłudy. Brak odwagi, by pozostawać w opozycji do bezmyślnej z reguły większości, też ma źródło w wygodnictwie. Piętnując obłudę, nie podobna nie piętnować uznawania wartości pozornych za naczelne. Zaszczepiana wartość przystosowania się do otoczenia stanowi błąd wychowawczy,

prowadzący w konsekwencji do obłudy. Nie ceni się bowiem młodzi, a potem dorosłych, zbuntowanych, nonkonformistycznych, lecz za wzór stawia się potulnych i potakujących. Nie wyrabia się dążenia do tego, by wykształcić w sobie -zgodny z własną naturą – system wartości i potrzeby życia według niego. Nawet wbrew wszystkiemu i wszystkiemu.

Zastanawiam się nieraz co stało się, na przykład, z właściwymi dla lat młodzieńczych rozterkami religijnymi? Przejmująco i trafnie oddał ich sens Jan Parandowski w powieści „Niebo w płomieniach”. U nas młodzież powieliła zachowania starszych. Obłuda wiąże się też ściśle ze sferą przeżyć erotycznych. Udajemy – zgodnie z dominującą obyczajowością drobnomieszczańską – że jesteśmy ponad czy poza takimi doznaniem. A choćby i to, że opinia publiczna u nas zezwala jedynie na związki heteroseksualne. Wrogi, nienawistny stosunek do homoseksualizmu prowadzi do ukrywania tych właściwości. A na pytanie, dlaczego wciąż jakieś grupy w naszym społeczeństwie muszą schodzić do „podziemia” – mimo rzekomej tolerancyjności – nie podobna znaleźć odpowiedzi. Obłudę wzmagają też niekompetencja ubrana nieraz nawet w powagę stopni naukowych.

Matura to przykład przełomowego momentu w życiu. Otwierają się bowiem perspektywy wymagające dokonania wyboru. Skutki takiej decyzji ważą niejednokrotnie na całym życiu, bowiem nie każdy ma odwagę – po upływie lat – zaczynać od początku. A może się zdarzyć, że absolwent medycyny odnajdzie w sobie powołanie do adwokatury.

Podejmowanie decyzji to moment skłaniający do wewnętrznej refleksji, do zastanowienia się, jaki jestem, czego pragnę – by w rezultacie określić cele, do których chce się zmierzać. Jest bowiem niewątpliwe, że o poczuciu sensu naszego istnienia decyduje odniesienie naszego życia do wartości wyższych, czyli ideałów. Ale to wymaga głębszego namysłu nad własnym ja po to, by wiedzieć dokładnie, czego się chce, a co pragnie nam narzucić otoczenie, zwłaszcza rodzina. Odkrywanie ideałów, pasji życiowej, odbywa się często w opozycji do życzeń najbliższych i wymaga odwagi, wyłamywania się nieraz spod obowiązującej obyczajowości. Wymaga buntu. Wzorem może tu być Don Kichot, który narażając się na śmieszność i powszechny brak zrozumienia, miał odwagę wyznawać „niemodne” ideały, ale zgodne z jego własnym ja.

Wartość dobrobytu i tzw. kariery jeśli stają się naczelnymi celami – prędzej czy później przyniosą rozczarowanie i przeżycie pustki własnego istnienia. Warto też wziąć pod uwagę, że wybór ideałów, nie zaś wartości materialnych, przyczynia się do rozwoju naszej indywidualności na nasz własny sposób. Nie zdobywając się na odwagę cywilną, będziemy ostatecznie powielać modele życia najbliższego otoczenia, jakkolwiek budzą one często w nas protest.

Trzeba pamiętać, że często zdani jesteśmy wyłącznie na siebie. Stąd trzeba umieć ograniczać się w pewnych sytuacjach do aprobaty siebie przez samego siebie; nie czekać na aprobatę innych i nie kierować się nią. A więc wybierać autentyzm nie zaś deprawujący w skutkach konformizm i oportunizm. I manifestować czynami prawdę deklaracji słownych.

O naszej wartości świadczy stosunek do drugiego człowieka – zwłaszcza sędziwego -jak również zdolność do wdzięczności i bezinteresowności. Wyrazem więzi, w których bezinteresowność w pełni się objawia jest przyjaźń; i ten rodzaj więzi ludzkich powinno się szczególnie kultywować.

Twórcze lenistwo

Przeptyw czasu, za szybkie mijanie dni, by przemyśleć różnorakie zdarzenia, powodują ich zapominanie. Wstrzymujemy niekiedy na chwilę ów niepotrzebny pośpiech, by stwierdzić ze zdziwieniem, że nikły jest w nas obraz minionych doznań. Szkoda, bo utrwalenie przeżyć i przemyśleń jest potrzebne również ze względu na terażniejszość – by mocniej czuć jej smak. Do tego jednak niezbędny jest czas, wyizolowanie się choćby na moment od tego, czym nasyciona jest nasza codzienność.

W powieści „W poszukiwaniu straconego czasu” Proust znakomicie wyraził powracanie pamięci doznań, które drzemią w nas i gotowe są odżyć na nowo. Dotknięcie ustami nakrochmalonej serwetki może przywołać odniesione niegdyś wrażenia i wzruszenia. Ale to wymaga luksusu wyrwania się z kołowrotu spraw i obowiązków.

Wakacje są takim szczególnym okresem w ciągu roku, kiedy zależnie od naszej woli – możemy sobie na ten luksus pozwolić. Najczęściej zmieniamy miejsce, by to, co nas otacza dawało nowe impulsy. Ale przyzwyczajeni do nieustannego czynienia czegoś, do narzucających napięcia psychiczne terminów – nie zawsze umiemy poradzić sobie z urlopową bezczynnością, z formami zniewolenia zależnymi już tylko od naszej własnej woli. Być może jest to tym trudniejsze, że wcale nierzadko nakładamy na siebie nieco masochistycznie różne obowiązki i powinności. Ma to określone walory: przynosi poczucie własnej niezbędności dla kogoś lub czegoś, uwalniając od osamotnienia.

I oto nadchodzi upragniony urlop. Wytchnienie, które niesie ze sobą, nie każdy umie wykorzystać. Bywa, że nawet lękamy się tego spotkania z samym sobą. Dostarcza mniej powodów do odczuwania agresji, czyli tej siły, która na co dzień często skłania nas do działania. Wielu filozofów głosi, że jesteśmy bierni, skłonni do ociężałości, wygodnictwa i bezruchu. Stąd niekiedy aprobata agresji, która dozowana i sterowana wyrywa człowieka z bierności.

W czasie urlopu dążenie do nieustannego czynienia czegoś zostaje zawieszane. Oddalenie się od tego, co konieczne, przybliża do siebie. Mamy też mniej powodów, by żywić uczucia negatywne do innych. Ale wytchnienie, które niesie ze sobą czas wakacji nie każdy z nas umie wykorzystać. Rozpamiętujemy kłopoty, czynimy plany i znów uchwyci czas terażniejszy. Przeżywanie radości i bez troski jest pewnym kunsztem, wymagającym koncentracji na tym, co tu i teraz.

Paradoksalne, ale człowiek współczesny nawet lenistwa musi się uczyć. Niepewność, napięcia społeczno-polityczne, kłopoty materialne tworzą sferę daleką od tej, która umożliwia bez troskie oddawanie się lenistwu. Urlop to chwilowe zawieszenie kłopotów, oddech, ale nie ucieczka. Znam malarza, Stefana Króla, który cztery razy w roku tworzy uroczystości. A więc, jak się okazuje, liczba dni odświętnych zależy od nas samych. Wcale nie musimy czuć się zniewoleni tym, co ustala obowiązująca tradycja.

Potrzeba pracy w Polsce, wbrew temu co często piszą publicyści, stała się na tyle powszechna, że nawet kobiety mogące pozwolić sobie na luksus nie wykonywania jej, czują się źle w domu. Nie umieją już, jak nasze prababki, organizować życia wolnego od zawodowych obowiązków. Słyszałam kiedyś narzekanie ekspedientki, że dla niej życie stało się nudne, odkąd mąż zmusił ją do zwolnienia się z pracy, więc znów do niej wróciła.

Ale wróćmy do lenistwa, którego pochwałę głoszę. Lenistwo, to nie tylko wyraz niechęci do wykonywania określonej pracy, czy uczenie się czegoś, co jest nam narzucone – ale stan,

który powinien być dany każdemu, co pewien czas, w okresie nasyconym wypełnianiem obowiązków. A więc nie tylko w czasie urlopu. Co pewien czas warto *i* trzeba pozwolić sobie na luksus uwolnienia się od wszystkiego, co męczy. Na luksus odgradzenia się od świata zewnętrznego i czynienia wyłącznie tego, co sprawia przyjemność. Taki, nazwijmy „międzydzień” czy „leniwy dzień” – jak go nazywa pani Laryssa – dla wielu bywa możliwy jedynie w niedzielę. Taki szczególny dzień odpowiednio spędzony przynosi nie tylko wzmoczenie energii psychofizycznej, a więc czyni nas silniejszymi i zdrowszymi, uwalniając od stresów, ale daje też możliwość zastanowienia się nad sobą.

Lenistwo prowadzi do niezbędnej rozmowy z samym sobą, do zastanowienia się nad sposobem istnienia i relacjami z innymi ludźmi. Ułatwia procesy krystalizacji naszej indywidualności. Ma to na tyle doniosłe znaczenie, że włoski filozof Giorgio Vecchio ogłosił prawo do samotności. Stan samotności, czyli refleksji nad sobą, osiągnąć można wszędzie: na ulicy, w tramwaju, w kawiarni. Taki wgląd w samego siebie, będący zarazem sposobem zatrzymania chwili, bywa często oceniany przez innych jako lenistwo. Mędrcy Dalekiego Wschodu przypisują takiemu namysłowi znaczenie metafizyczne. Taki rodzaj lenistwa prowadzi do uświadomienia sobie różnicy między tym, czego my chcemy, a tym, co pragnie nam narzucić (niemal w każdej dziedzinie) społeczeństwo.

Sposoby życia uznawane przeciętnie za rzekomo jedynie słuszne oddziałują na nas zarówno w formie presji otoczenia, jak i kultury masowej. Poddać się i stać się tworem społeczności, uformowanym odległe od własnych pragnień, jest najłatwiej. Znacznie trudniej zachować indywidualność i być sobą. W tej perspektywie lenistwo okazuje się stanem cennym i potrzebnym.

I jeszcze jedno – w czasie wakacji najlepiej jest leniuchować poza domem. Związana ze zmianą miejsca odmienność perspektywy sprawia, że na nowo zaczyna się cenić tych, którzy na co dzień są w pobliżu, lecz przez uzwyczajoną już bliskość przestali być zauważani.

Grzegorzowi Szwargolińskiemu

Elegancja duchowa

Wiele niemodnych, zdawałoby się wartości i pojęć zachowuje nadal swoje znaczenie w wąskich kręgach społeczeństwa. Cenne jest ich przetrwanie mimo zmieniających się epok. Niemniej cenna jest odwaga tych, dzięki którym przetrwały. Odwagi wszak wymaga pozostanie „przy swoim” wbrew większości.

Pisząc te słowa zatrzymam się przy pojęciu „dama”. Właśnie niedawno w pociągu pochłonął moją uwagę widok niemodnie ubranej starszej pani, w wyszarzałej spódnicy i żakiecie. Intonacja jej głosu i sposób podania ręki, jak również forma wyrażania myśli nie pozostawiała wątpliwości, że ma się do czynienia z damą.

Harmonia wewnętrzna wyrażająca się nie tylko w pogodzeniu z samym sobą, ale również w opanowywaniu kłębiących się w nas uczuć, pragnień, złości, niechęci, podejrzliwości, zazdrości i wielu innych wzruszeń i przeżyć – to jeden z warunków elegancji, o której tu mowa. Panowanie nad sobą, w otoczeniu nawet przyjaznym i dobrze znanym, jest nieodzowne, jeśli ktoś pragnie osiągnąć duchową elegancję. To tylko w bliskich kontaktach przyjacielskich i rodzinnych można pozwolić sobie na ujawnienie dręczących nas uczuć i namiętności. Nie chodzi tu w żadnym wypadku o nadmiernie wyszukany sposób mówienia czy zachowania się. Odwrotnie. Prostota wiąże się z elegancją duchową.

Modne ubranie, dokładne trzymanie się kanonów mody nie czyni jeszcze człowieka eleganckim. Przesadne respektowanie przepisów dyktowanych przez projektantów bywa nieraz oznaką braku pewności siebie, jak również chęci sprostania temu, co obowiązujące „w wielkim świecie”. Może być też próbą wymazania swego pochodzenia. Szczególnym brakiem elegancji odznaczają się ci, którzy nie umieją dostosować sposobu ubierania się do swoich właściwości psychicznych. Może za mało zdajemy sobie sprawę z tego, że nie tylko urządzenie mieszkania, ale i to, co nosimy na sobie, łącznie z biżuterią, stanowi emanację naszych właściwości psychicznych. Jest przedłużeniem naszej indywidualności, formą wyrazu tego, co w nas wewnętrzne i nieuchwytnie dla drugiego człowieka.

Elegancja duchowa pozostaje w ścisłym związku z właściwościami indywidualnymi. Stanowimy przecież jedność psychosomatyczną. Nasze życie psychiczne odbija się w rysach twarzy, sposobie mówienia, zachowania się, odnoszenia się do innych ludzi. Nasze życie psychiczne osiąga rozmaite poziomy. To nas różni. Każdy może i powinien rozwijać się nie tylko intelektualnie, ale również dbać o wyższy poziom rozwoju reakcji uczuciowych. I nie zatracać też wrażliwości, którą miał w dzieciństwie.

Co jakiś czas wybieramy miss piękności. Nie mogę sobie przypomnieć, by były one szczególnie eleganckie. A przecież są starannie ubrane i efektownie rozebrane. Podobnie z modelkami. Niewiele z nich osiąga elegancję, którą odznacza się pani Małgorzata Niemen. Niejednokrotnie mam wrażenie, że poruszają się na podium jak mechaniczne lalki. Właśnie, brakuje im nieraz elegancji duchowej. Ten duchowy pierwiastek elegancji sprawia, że niektórzy – rozwijając swoje życie duchowe – nabierają w miarę upływu czasu elegancji, o której mowa. Człowiek prymitywny w najbardziej modnym garniturze nie będzie elegancki.

Elegancja, nawet ta duchowa, nie niesie ze sobą automatycznie pozytywnych treści duchowych. Alexis jedna z bohaterek serialu „Dynastia” – odwiedzała niemal wszystkie polskie domy. Może budzić, i zapewne budzi, zazdrość swoją elegancją. Fascynuje

wykwintnością i wytwornością. Odznacza się wielkim smakiem w sposobie ubierania się. A jednocześnie traktowana jest jako uosobienie zła. Pragnę to podkreślić, ażeby na tym przykładzie ujawnić powszechny błąd. Staramy się oceniać siebie i drugiego człowieka w kategoriach dobra i zła. Błąd polega na niezdawaniu sobie sprawy z tego, że całokształt istnienia wykracza poza kategorie dobra i zła. Zbyt rzadko zdajemy sobie sprawę, że istnienie nasze odnosi się również do innych, wyższych wartości. I że to, co leży poza sferą moralną, nie musi być z nią sprzeczne. Petroniusz, jeden z bohaterów powieści Henryka Sienkiewicza, odwoływał się do kategorii piękna w swoich działaniach wobec innych ludzi. Powiedziałabym, że estetyzm to wyższy stopień elegancji.

Mieczysław Voit, Dagny Przybyszewska, Ignacy Mościcki, Jean Gabin, a z żyjących – na przykład Nina Andrycz, Bogusław Kaczyński czy królowa Holandii -oto osoby, które osiągnęły harmonię wysoko rozwiniętych treści duchowych z formą ich wyrazu, osoby odznaczające się nie tylko elegancją stroju, ale również elegancją duchową. Wzory do przemyślenia i naśladowania na swój własny sposób, ukazujące zarazem – przez kontrast – żalną tendencję naszej epoki, w której króluje „bylejakość”. Nie dbamy o sposób wyrażania naszych myśli i przeżyć, nie zwracamy uwagi na gesty, na sposób jedzenia czy witania się. A przecież elegancja duchowa to zarazem przejaw naszej kultury osobistej.

Elegancja duchowa wyraża się też w stosunkach między człowiekiem a człowiekiem. Ktoś prawdziwie elegancki nie zachowa się ordynarnie czy grubiańsko. Nasze istnienie wiąże się z nieustannymi spotkaniami z innymi ludźmi i w nich nie tylko kształtuje się, ale i wyraża nasze ja. I nie jest eleganckim duchowo ten, kto w niedzielę i w czasie świąt stara się być wytworniejszym w sposobie zachowania wobec najbliższych niż na co dzień, kiedy to w ogóle nie dba o wartości estetyczne.

Oddziaływanie otoczenia

Sprawa budownictwa mieszkaniowego, to właśnie nasza codzienność i tu również wydaje mi się niezbędna perspektywa filozoficzna. Dla zilustrowania niezbędności filozoficznego punktu widzenia w sprawach budownictwa mieszkaniowego powołam (choć dotyczy ono medycyny) stanowisko Juliana Aleksandrowicza. Pisał on, że nie można dobrze leczyć, jeśli wypreparuje się swoją działalność medyczną z filozofii i że należy studia medyczne pogłębić przez wiedzę filozoficzną. Przytaczam ten przykład po to, by uczynić mniej absurdalnym moje przekonanie o związku filozofii z budownictwem mieszkaniowym.

Mówiąc o niezbędności filozoficznego ujęcia problemu budownictwa mieszkaniowego mam na myśli powagę filozofii ośmieszanej wszak u nas od 1950 roku -w jej różnorodnych kierunkach, czy prądach; są one u nas zresztą na ogół nieznane. My wciąż – deklarując pluralizm – pozostajemy pod oddziaływaniem dwóch prądów: pozostałości marksizmu i myśli chrześcijańskiej, głównie w jej odmianie tomistycznej. W świadomości ogółu powstaje zresztą niespójny zazwyczaj pogląd na świat, zawierający w sobie elementy jednego i drugiego prądu filozoficznego, mimo że są one przeciwstawne. Poza tym z racji modnej u nas amerykańskiej socjologii, jak i oddziaływania socjologicznie nastawionego marksizmu obecny sposób myślenia polskiej inteligencji w tym w architekturze przesycony jest niekorzystnym pragmatyzmem i kulturowaniem wartości użytecznych; tego, co funkcjonalne.

Przechodząc do meritum sprawy, myślę, że przeszkodą we właściwym rozwiązywaniu w Polsce problemów budownictwa mieszkaniowego jest nasze – wadliwe zresztą nie od dziś – nastawienie wobec tego, co przychodzi ze świata. Mianowicie powodowani jesteśmy poczuciem mikromanii narodowej. I ona sprawia, że często przejmujemy również i w dziedzinie budownictwa -wzory z Europy Zachodniej, czy innych kontynentów, nie chcąc zdawać sobie sprawy z tego, że tracą one sens na gruncie polskim. Niechaj jako przykład posłużą zsypy. One rzeczywiście, w istotny sposób ułatwiają życie tym, którzy zamieszkują w krajach Zachodu wielopiętrowe domy. Skopiowanie tego u nas doprowadziło wszędzie, gdzie zostały one wybudowane, do inwazji robactwa i gryzoni. Wynika to oczywiście z faktu, że nikt u nas owych zsypów należycie nie czyści, że brakuje nie tylko stosownej pieczołowitości, ale również środków chemicznych oraz folii do opakowywania wyrzucanych śmieci.

Inny błąd ma również źródło w mentalności znacznej części naszej nowej inteligencji. Wywodzi się ona ze wsi. Powoduje to u większości chęć zatarcia wiejskości, co prowadzi w wypadku budownictwa mieszkaniowego do betonowania środowiska naturalnego. Szczególnie bezsensowna jest dążność do betonowania nawet miejsc zabaw dla dzieci. Inny przykład, to brak zdawania sobie wyraźnie sprawy z tego, co tak jest oczywiste dla starej inteligencji, a mianowicie ze szczególnej i niemożliwej do zastąpienia roli kawiarni w mieście. Jakże ważne jest dla mieszkańców miast, zwłaszcza dużych, posiadanie „własnej” kawiarni, w której pewien krąg ludzi jest znany przynajmniej z widzenia, gdzie w określonych porach spotykają się tam stali bywalcy. Budując osiedla architekci powinni projektować takie miejsca, bowiem sprzyjają one kontaktowaniu się z innymi. Takie kawiarnie -znakomity przykład stanowi Wiedeń – dają poczucie bezpieczeństwa, niwelują anonimowość.

To poczucie zagubienia w obecnie zaprojektowanych osiedlach wzmaga się również i z tego względu, że brakuje bram, w których można się zatrzymać, schronić w razie deszczu i

nawiązać znajomości z sąsiadami.

Te, jedynie z pozoru, nowoczesne polskie osiedla stanowią miejsce, do którego wraca się po pracy, ażeby się przespać i obejrzeć program telewizyjny. Osiedla są bezduszne. I co gorsza, życie w nich, jak wykazały badania, jest przyczyną rozmaitych schorzeń, mających źródło w złym stanie psychofizycznym. Okazuje się, że otwarta przestrzeń, chaotyczna zabudowa nie dają człowiekowi takiego poczucia bezpieczeństwa jak tradycyjna zabudowa ulic, by sięgnąć do przykładu w Warszawie ulicy Lwowskiej, Filtrowej czy Nowowiejskiej.

Chcę przez to powiedzieć, że architekci w większym stopniu niż obecnie, powinni uwzględniać – obok wygody – także strukturę psychiczną człowieka, powinni liczyć się z jego stanami emocjonalnymi. Nie ma bowiem stanów czysto intelektualnych, nieustannie są w naszej psychice obecne uczucia. A więc oddziałują na człowieka -w sposób obezwładniający, bądź mobilizujący – kształt powierzchni mieszkaniowej, wysokość, czy rodzaj używanych materiałów, jak również nie mniejsze znaczenie mają barwy kamienic. Warto powrócić w budownictwie mieszkaniowym, na przykład, do nieregularności układu powierzchni, elementu tajemniczości, odejść od powszechnie stosowanego stereotypu, jakim są pokoje w kształcie pudełek, pozbawione jakichkolwiek wnęk, zakamarków.

Architektura jest jednym z rodzajów sztuki, której jednak oddziaływania na psychikę człowieka – inaczej, na przykład, niż w wypadku muzyki czy malarstwa – rzadko sobie uświadamiamy. Stąd niedostatecznie bierze się pod uwagę, że architektura mogłaby mieć pod – warunkiem właściwych rozwiązań – pożądany, stymulujący, aktywizujący wpływ na jednostki. Ale nastąpi to jedynie wtedy, gdy architekci przyjmą jako obowiązujący kanon – założenie, że budownictwo mieszkaniowe powinno sprzyjać podstawowemu zadaniu człowieka, którym jest wszechstronny wewnętrzny rozwój jego właściwości indywidualnych.

Innymi słowy, budownictwo mieszkaniowe nie powinno kultywować wartości, jaką jest funkcjonalność pomieszczeń. Nie chcę przez to powiedzieć, że mieszkania mają nie służyć wygodzie człowieka, ale zwrócić uwagę na to, że w hierarchii wartości owa funkcjonalność nie powinna zajmować naczelnego miejsca. To zagadnienie wiąże się z wykrzywionym obrazem człowieka. Trzeba więc przywrócić świadomości ogółu przekonanie, że człowiek zaczyna kształtować swoje człowieczeństwo wówczas, gdy wznosi się ponad wartości użytkowe. I że nawet niebezpieczne jest nadmierne troszczenie się o wygodę, bowiem w ludzkiej naturze drzemie dążenie do bierności. I tu ogromna rola katalizującego wpływu budynków mieszkalnych.

Wadliwy obraz człowieka, a raczej natury ludzkiej, który u nas funkcjonuje, wiąże się też z niedocenianiem przeżyć estetycznych i z nadmiernym eksponowaniem roli moralności w życiu człowieka, co nie wiąże się bezpośrednio ze sprawą budownictwa. Ale wracając do przeżyć estetycznych i pożądanego rozbudzenia tychże przez należyte budownictwo mieszkaniowe – chcę podkreślić, że ważą one bardziej na poczynaniach człowieka, niż często deklarowane kategorie dobra i zła. Chcę przez to powiedzieć, że uwzględnienie w projektowaniu mieszkań i domów celu: rozbudzania przeżyć estetycznych może korzystnie oddziaływać na sposoby zachowań ich mieszkańców.

Nie wyobrażam sobie możliwości – by zilustrować ten postulat – barbarzyńskich zachowań na klatkach schodowych i windach w starych, secesyjnych kamienicach, równego przejawom wandalizmu w nowych blokach. Mianowicie piękno onieśmiela i zobowiązuje, natomiast brzydota polskich osiedli nie działa zobowiązująco, lecz przygnębiająco, potęgując niedobre poczucie tymczasowości i obcości. Dzieje się tak, choć przeciętny mieszkaniec nie uświadamia sobie tych głębszych zależności.

Obecna wadliwa nieczytelność układu urbanistycznego, duże odległości między blokami sprawiają poczucie chaosu, zagubienia, niepokoju. Takiego stanu nie odczuwa się w zabudowie tradycyjnej, utrzymanej w tak zwanej ludzkiej skali. Oczywiście większość mieszkańców nie uświadamia sobie wpływu rozwiązań architektonicznych na ich stan

zdrowia.

Osiedla w gruncie rzeczy nie są ani wsią, ani miastem. I niepomrotnie bardziej korzystne z punktu widzenia zdrowia psychicznego człowieka jest budownictwo lat dwudziestych czy trzydziestych, by sięgnąć do przykładu ulicy Filtrowej w Warszawie z jasnymi podwórzami i dwiema klatkami schodowymi. Wprawdzie służby dziś na ogół się nie zatrudnia, ale posiadanie drugiej klatki schodowej wzmaga poczucie bezpieczeństwa. To poczucie bezpieczeństwa jest naruszone w naszym tak zwanym nowoczesnym budownictwie m.in. przez fakt projektowania zbyt dużych okien. Stają się one jedynie źródłem nadmiernego chłodu i zmniejsza się powierzchnia ściany.

Dlaczego nie dba się o stare, zabytkowe często kamienice? Dlaczego burzy się je, zamieniając zajmowane przez nie place, na przykład, na parkingi? Bohater powieści Jana Stepnia, „Pulsowanie”, wracając po latach do rodzinnego miasta, przeżywa bezsilny bunt wobec zamiany starych kamienic na tzw. mrówkowce. „Stojąc i patrząc na ogołoconą ulicę poczułem się okradziony z tego, co najdroższe, czego nie da się kupić za żadną walutę tego świata”.

Moja instytucja

Przed każdym, kto jest zmuszony do pracy zarobkowej, stają do wyboru dwie możliwości: albo traktować wykonywany zawód jako konieczność, ciężący przymus, wyraz podległości, wręcz zniewolenia – albo poczuć się częścią zespołu, z którym się pracuje, a nawet utożsamić się z zatrudniającą nas instytucją. Poczucie współodpowiedzialności za zespół i instytucję, w której się pracuje, to, innymi słowy, wyraz godzenia własnych interesów z dobrem firmy.

Nikt z nas nie istnieje w sposób wolny od interesów i celów otoczenia. One się wzajemnie zazębiają. Czujemy się zbędni, gdy nikt nas nie chce włączyć w orbitę swoich planów i zadań, bo wtedy czujemy się osamotnieni. I dla niejednego z nas praca zarobkowa -wiążąca nas z poczuciem przynależności do jakiejś wyodrębnionej grupy – bywa ratunkiem przed samotnością.

Być częścią jakiejś całości, to odczuwać integrację z zespołem i podlegać jego rygorom. I nie jest szczególnie ważne – z rozważanej tu perspektywy – czy właścicielem zatrudniającej instytucji jest państwo, spółka, czy prywatna osoba.

W rozwiniętych krajach kapitalistycznych właściciel-akcjonariusz jest równie „bezosobowy” dla zatrudnionego urzędnika czy robotnika, jak państwo jako właściciel w krajach komunistycznych. W prywatnej, czy w państwowej firmie, dochodzi do spotkania pracownika z jego bezpośrednim zwierzchnikiem, kierownikiem, dyrektorem. Sprawa rodzaju własności schodzi na daleki plan.

Poczucie emocjonalnego zespolenia z miejscem pracy nadaje naszym poczynaniom wyższy wymiar. Bezinteresowność jako składnik wysiłków mających na celu zarabianie pieniędzy, działa uczłowieczająco. Wynosi nas ponad potrzeby materialno-biologiczne. Rzecki z „Lalki” Prusa czuł się współodpowiedzialny za firmę i to nadawało sens jego życiu.

Słyszałam kiedyś, w czasie wakacji, opowieści kelnera z „Adrii”, dumnego z firmy, w której przed wojną pracował. Dyskutował z ekspedientem słynnego sklepu „Braci Jabłkowskich”. Podobnie pamiętny czeski serial telewizyjny „Kobieta za ladą” przynosił aktualne, wyraziste obrazy poczucia zespolenia z miejscem pracy i związanego z tym poczucia odpowiedzialności.

Interesujące, że poczucie: oto „moja firma” -wytworzyło się wyraziście w czasach wielkiej własności kapitalistycznej. Robotnicy firmy „Volkswagena” identyfikują się ze swoim miejscem pracy, by przywołać z kolei ten przykład. Do poczucia utożsamienia się z firmą nie zawsze jest potrzebna osoba właściciela. Wystarczają przywileje socjalne i prestiż produkowanego towaru na rynkach. Zresztą sprawy rodzaju własności nabrały drugorzędno znaczenia. Bywają wprawdzie fanatyczni zwolennicy bądź to prywatnej, bądź to państwowej formy własności. Ale na gruncie nauki społecznej Kościoła rzymskokatolickiego wszelkie formy własności są uprawnione, co głosił nie tak dawno papież Jan XXIII. Pozostawione są swobodnej decyzji rządów. Odbiega to w istotny sposób od poglądu tych, którzy nadal w duchu nauki Tomasza z Akwinu chcieliby uznawać własność prywatną jako jedyną słuszną formę własności.

Nie wytwarza się zdrowa atmosfera, gdy dominującym motywem pracy staje się widmo bezrobocia. Motywy mają istotne znaczenie. Decydują o wartości naszych czasów. Również nie jest anachronizmem przypomnienie o honorze. Troska o dobre imię firmy, to zarazem troska o prawidłowe spełnianie obowiązków służbowych po to, by mieć wewnętrzną satysfakcję, a nie tylko godziwe zarobki.

Poczucie zespolenia się z „moją firmą”, to odwrotność postaw cynicznych, podważających inne wartości niż wymierne, egoistyczne interesy. A poza tym czyż nie jest jałowe życie, jeśli sprowadzać je do starań o utrzymanie się przy życiu?

Wracając do honoru, to w codziennych rozmowach, prowadzonych przez ludzi rozmaitych środowisk, słyszy się nieraz odwoływanie do honoru bądź ocenia się czyjeś zachowanie jako „niehonorowe”. Mówi się też o długach karcianych jako honorowych. Dawniej, jeszcze przed II wojną światową, w pewnych warstwach obowiązywał „kodeks honorowy”, czyli prawo zwyczajowe, spisane przez Bożewicza. (Nasz kodeks honorowy wzorował się na kodeksach innych krajów, a zwłaszcza Niemiec).

Być człowiekiem honoru to znaczy wypełniać cały szereg czynności z poczucia obowiązku, czy wewnętrznej powinności, nie zaś ze względu na przewidywane korzyści. To znaczy nie zawodzić pokładanego przez innych zaufania i czuć się związanym danym słowem. Dobrze jest mieć do czynienia z kimś, kto kieruje się w życiu honorem, bo można wtedy mieć pewność obcowania z człowiekiem prawym. Z kimś, kto mówi zgodnie z tym, co myśli i odpowiednio do tego postępuje. Można się nie bać podstępu, nieszczerości, obmowy. Honor wymaga wierności wobec samego siebie, wobec przyjętej linii rozwojowej. Łączy się on z wykonywaniem obowiązków swojego zawodu i stanu.

Trwały pokój

Pamiętam o moich przodkach, którzy poświęcili życie ojczyźnie. To osobiste wyznanie staje się koniecznością, skoro mam tu głosić pogląd niepopularny – dochodzę do wniosku, że rację mają pacyfiści.

Niezbędny jest trwały pokój zamiast pokoju kończącego określoną wojnę. Gandhi uczynił wszak wiele dla swojego narodu nie używając przemocy.

Współczesne rodzaje broni stanowią zagrożenie dla istnienia naszej planety. W dodatku wojna jest najtańszym sposobem niszczenia przestarzałego uzbrojenia. Kant zdawał sobie z tego sprawę już w końcu XVIII wieku. Ale żądanie likwidacji armii w poszczególnych krajach, jak również domaganie się uprawnienia do nieodbywania służby wojskowej nie wyczerpują jeszcze współczesnego sensu pacyfizmu.

Wiąże się on również z tendencją do wyrugowania przemocy w życiu publicznym i zakazem kary śmierci. Współcześni pacyfiści wzbogacają ten ruch ideami ekologicznymi, ale nie znaczy to, że wszyscy przedstawiciele ruchów ekologicznych są pacyfistami.

U nas pacyfistów w szerszym znaczeniu tego słowa właściwie nie ma. Ruch ten sprowadza się do niewielkich liczbowo grup antimilitarystycznych. Nawet nie rozwija się nowa dziedzina nazywana polemologią lub nauką o pokoju.

Pacyfizm głosili pierwsi chrześcijanie, a potem spośród chrześcijan głównie kwakrowie, arianie, anabaptyści, świadkowie Jehowy. Duże liczebnie kościoły chrześcijańskie, a więc rzymskokatolicki, protestancki czy kościół prawosławny nie głoszą pacyfizmu. Myśliciele chrześcijańscy napisali więcej dzieł na temat słusznej wojny niż na temat pokoju.

Pierwszym filozofem, który opracował szczegółowo program zawarcia wiecznego pokoju między wszystkimi państwami był Immanuel Kant. Do niego nawiązali uczeni, którzy utworzyli po II wojnie naukę o pokoju.

Pacyfizm wiąże się najściślej z określoną hierarchią wartości. Jeśli bowiem uzna się człowieka za wartość najwyższą, to konsekwencją takiego poglądu jest wykluczenie każdej wojny: nawet obronnej i uznawanej za szczytną, bo broniącej interesów narodu. Nawet w tzw. wojnie sprawiedliwej człowiek jest traktowany nie jako cel, lecz jako środek służący wartości ważniejszej od niego: dobru państwa, narodu, obronie wiary.

Tradycyjne wychowanie w duchu patriotyzmu polega na zaszczepieniu w takiej samej mierze miłości do ojczyzny, co niechęci czy wręcz nienawiści do jej nieprzyjaciół. Nie ma natomiast programu wychowawczego upowszechniającego pacyfizm, który nie dzieli ludzi na przyjaciół i wrogów, swoich i obcych.

Pacyfizm jest wprawdzie wciąż ideą utopijną, ale trzeba brać pod uwagę, że utopie są kierunkowskazem dziejów ludzkości i wywierają na nią poważny wpływ. Weźmy pod uwagę wiążącą się z pacyfizmem ideę miłości bliźniego. Mimo swojej utopijności, jest od wielu stuleci na nowo zaszczepiana kolejnym generacjom. A brakuje wszakże na naszym globie nawet życzliwości powszechnej.

Przepaść między faktyczną agresją w życiu międzynarodowym a zaszczepianą ideą miłości bliźniego upoważnia do głoszenia idei pacyfistycznej pomimo nieustannych wojen na Ziemi. Pilną sprawą staje się właściwa edukacja, która by nie tylko prowadziła do zmniejszenia agresji w relacjach człowiek-człowiek, ale również nadała inny sens patriotyzmowi. W Polsce miłość do ojczyzny wiąże się zbyt mocno z nienawiścią do wroga. Najwyższy czas, by to zmienić, jakkolwiek z powodów historycznych był to sposób wzmagania świadomości narodowej.

Ten, kto wyrzeka się przemocy i potępia agresję w stosunkach między ludźmi, naraża się na to, że będzie uznany przez otoczenie za słabego i takiego, którego można bezkarnie krzywdzić. Dlatego też taka postawa wymaga także gotowości do obrony swoich poglądów.

Masowa kultura i informacja oswajają z agresją, brutalnością i śmiercią, a tym samym zabijają naturalny odruch niesienia pomocy drugiemu człowiekowi, choćby mieszkał za ścianą. Dopiero stan bezpośredniego zbiorowego zagrożenia wyzwała w nas wzajemną życzliwość i ofiarność. Żeby nie sięgać do zbyt odległej historii: ileż życzliwego zainteresowania zaznałam w stanie wojennym ze strony mało sobie wcześniej znanych osób. Teraz odczuwam brak tej bliskości nawet w kręgu znajomych.

Miłość do ojczyzny jest wartością zaszczepianą nam od wczesnego dzieciństwa. Stąd bardzo wcześnie następuje zróżnicowanie ludzi na rodaków – i tych obcych, w jakimś sensie gorszych, a w każdym razie innych. Sformułowana przez stoików w starożytności idea braterstwa wszystkich ludzi zostaje zapoznana.

Agresja cechuje naturę ludzką i jest aprobowana wtedy, gdy służy narodowi, obracając się przeciwko wrogom. Niektórzy filozofowie proponowali powszechne uprawianie sportu aż do ryzyka śmierci po to, by tę agresję rozładować.

Wspominany już wcześniej Kant proponował urzeczywistnienie pokoju na świecie w ramach i za pośrednictwem społeczności międzynarodowych. Ale jak wskazują fakty, mimo rozwoju prawa międzynarodowego i odpowiadających mu instytucji, nie daje się zażegnać wojen nawet w Europie.

Ostatecznie dzieje świata zależą od charakteru jednostek. I dlatego sprawą podstawową są procesy wychowawczo-edukacyjne. Pilne jest na przykład zaszczepianie poczucia honoru. Otóż człowiek honoru to ten, kto traktuje drugiego człowieka jako cel, czyli wartość najwyższą, a nie jako środek do osiągnięcia celu.

Warto też zastanowić się czy agresji międzyludzkiej nie potęguje wychowywanie w kulcie więzi rodzinnych, pozostawiające poza klanami opartymi o wspólnych przodków – nawet przyjaciół? Zaznacza się u nas wyraźny podział na „swoich” i „obcych”.

Filozofia codzienności

Na naszym sposobie myślenia, a więc zarazem i sposobie życia, ciąży negatywnie pewne teoretyczne mniemania, których się nie weryfikuje lecz biernie przejmuje z pokolenia na pokolenie. Nie jest to problem jedynie teoretyczny, bowiem niektóre z takich fałszywych przeświadczeń – propagowane – zdolne są poruszyć masy ludzkie do działań. Już angielski filozof początku ery nowożytnej, Bacon, pisał o idolach – jak nazywał błędy rozumu ludzkiego – i zdawał sobie sprawę z ich niebezpieczeństwa. Potęguje ten stan niedostatku prawdy język, bowiem zarówno w życiu prywatnym, jak i publicznym używa się często słów po to, by odwrócić uwagę od niezaprzeczalnych faktów i zamiast dotarcia do prawdy, wywołać np. jakąś sensację. Pośpiech, stan rozproszenia wewnętrznego, zmęczenie trudnymi warunkami życia, nie zadawanie sobie głębszych pytań, sprzyjają funkcjonowaniu zabobonów, by użyć terminu ojca Bocheńskiego.

Jednym z takich fałszywych przeświadczeń, zabobonów, w które pragniemy wierzyć i przyjmować za prawdziwe jest przekonanie, że ludzkość doskonali się moralnie i że człowieka charakteryzują uczucia, czy instynkty społeczne. I w obliczu takiego rozdwojenia między światem obserwowanych i doświadczanych faktów a ich teoretycznym opisem czujemy się zagubieni, a nawet niezdolni do krystalizowania własnych postaw i działań. Lękamy się naruszyć niepodważalne z pozoru opinie funkcjonujące ze znaczną siłą. Narastają nieporozumienia w skali społecznej. A często dotyczą one pomieszania płaszczyzny faktów z płaszczyzną ludzkich powinności, a więc opisem tego, jak powinniśmy postępować. Zagadnienie niedostatku prawdy komplikuje również brak czynów, które by uprawomocniły słowa wypowiedane publicznie.

Z filozofii codzienności powinno się czerpać wartości, które nadają naszemu istnieniu wyższy wymiar. Filozofia ta pomaga w tworzeniu i samego siebie i kolorytu codzienności.

Niezgoda na rezygnację z własnego ja, niezgoda na to, by poddawać się rzeczywistości zamiast ją przetwarzać to myśl przewodnia filozofii codzienności. Tymczasem troskę o prawidłowy rozwój osobowości pozostawia się przypadkowi. Nie ma szkół kształtowania charakteru. Nie ma kursów podnoszących uczuciowe reakcje na wyższy poziom. I wskutek tego każdy doświadczać musi podobnych błędów i omyłek, co jego praszczurowie. Każdy, będąc zdany na siebie, odkrywa na nowo dawne, odnalezione w doświadczeniu innych, stare prawdy. Każdy rozpoczyna trud od początku.

Ci, którzy poszukują rozpraw psychologicznych i psychiatrycznych, zapewne najbardziej oczekują odpowiedzi na pytanie, jaki wzorzec człowieka proponują autorzy i jakie są drogi jego osiągnięcia. Są to ludzie mający kłopoty z sobą bądź konflikty z otoczeniem. Chcą sami temu zaradzić, chcą lepiej poznać samych siebie i trafniej sterować własnym życiem. Ale czy muszą w tym celu wnikać w stany patologiczne?

Wątpliwość ta ma podstawę również i dlatego, że pytania, co leczyć, jak leczyć i co jest stanem normalnym, stanowią w świecie psychiatrów oraz psychologów przedmiot dyskusji. Wciąż zarysowują się nowe stanowiska.

A więc, po co wprowadzać każdego, kto oczekuje pomocy i pozostaje w granicach tzw. normy, w świat chorób i różnorodnych na ich temat opinii? Jest to niebezpieczeństwo duże, zwłaszcza dlatego, że znaczna część psychiatrów i psychologów jest przekonana, iż wyraża prawdę nie tylko o człowieku chorym, ale o człowieku w ogóle.

Filozofia codzienności nie jest zbiorem wskazań w konkretnych sytuacjach życiowych ani

też kompendium wiedzy o niepokojach człowieka. I to nie tylko dlatego, że każda z sytuacji jest inna, o innym rozkładzie elementów i uwarunkowań, że inni są ludzie objęci tymi sytuacjami i inne w nich nawarstwienie. Filozofia – niezależnie od tego, czy jest to dział nazywany teorią poznania, filozofią przyrody, etyką czy metafizyką – z istoty swej ma charakter ogólny i powszechny. A rzeczą zainteresowanych, także w przypadku filozofii codzienności, jest przeniesienie i zastosowanie ogólnych stwierdzeń do tego, co zindywidualizowane i rozwijające się.

Filozofia codzienności musi zrezygnować z postawy wyższości wobec doświadczenia potocznego. Jeżeli w pierwszej chwili wydaje się, że filozofia oraz codzienność są pojęciami nieprzylegającymi, to dlatego, iż utarło się mylne rozumienie filozofii jako wiedzy odległej od rzeczywistości.

Potrzeba praktycznego korzystania z filozofii wiąże się ściśle z niepokojami codzienności, wobec których jesteśmy często bezradni i nieporadni. I dlatego właśnie odczuwamy potrzebę filozofii codzienności.

Filozofia codzienności, między innymi, pozwoli uwyraźnić, że cywilizacja dostatku dóbr materialnych błędnie jest kojarzona z czasem szczęśliwości. Żeby być szczęśliwym, poza innymi warunkami (subiektywnymi i zróżnicowanymi indywidualnie), niezbędny jest kontakt z drugim człowiekiem, a nie z rzeczami.

Filozofia codzienności powinna pomóc w wyzwaniu się z nieprawidłowych opinii funkcjonujących w społeczeństwie i z wadliwej hierarchii wartości. Fakt naszego istnienia wskazuje ona jako dobro najważniejsze. Uczy żyć zgodnie z powinnościami i przeżywać radość właśnie z tego powodu.

Człowiek może znacznie więcej, niż mu się wydaje. I jeszcze więcej, niż mu się na co dzień chce. Niech zatem zdąży do najwyższych wartości! Rozróżniam dwie zasadnicze postawy życiowe. Pierwsza – radosna, płynąca z niezmienności naszych starań, by stawać się; z zadowolenia ze zmierzania do ustalonych przez siebie celów połączona z nadzieją powodzenia. Druga postawa – pełna niezadowolenia, rozgoryczenia, rezygnacji, która jest reakcją na to, że kształt życia jest daleki od upragnionego. Ta postawa jest groźna dla człowieka i zarazem dla jego otoczenia, na którym on podświadomie się mści, że czegoś nie ma, co mają – naprawdę bądź rzekomo – inni. Złość na swój los, rozpamiętywanie braków w tym, co spełnione – zamiast widzenia sensowności ulokowania wysiłku w tym, co jest do spełnienia – grozi goryczą zabijającą siłę nadziei. Filozofia codzienności może być pomocna. Trzeba wziąć pod uwagę, że człowiek obdarzony dużym stopniem wrażliwości i starający się samodzielnie myśleć, a więc niezależnie od narzucanych mu schematów, dźwiga ciężar większy niż zdawałoby się, że jest zdolny unieść. Może właśnie dlatego tak często rezygnujemy z samodzielności, stając się w konsekwencji psychicznymi kalekami – jest to bowiem sposób na pozbycie się tego ciężaru. Poddanie się i zagubienie w rutynie życia, pogodzenie się z zastaną rzeczywistością bądź sprowadzenie życia do wygodnego urzędnictwa w nim – to utrata możliwości samostwarzania siebie, droga bezmyślna i donikąd. Wielu usiłuje stłumić w sobie głos domagający się od nich pełnego rozwoju. Ów głos, imperatyw, jest bardzo wyraźny, choć nie dla wszystkich jest jasne, w imię czego mają mu czynić zadość.

Filozofia codzienności przewycięża jednostronne naświetlenie problemu człowieka, leży bowiem na pograniczu filozofii kultury, filozofii twórczości, aksjologii, filozofii prawa, filozofii człowieka. Pewne uniwersalne prawdy o człowieku, trwalsze od zmieniających się epok, przekładane zostają przez filozofię codzienności na język bardziej konkretny. Wyciąga ona wnioski ze współczesnych uwikłań człowieka.

Dla filozofii codzienności charakterystyczna jest tendencja wpływania na kształt rzeczywistości tworzonej przez człowieka. Ma ona na celu formowanie pewnych właściwości w jednostkach, które to cechy w istotny sposób wpływają na stosunki między ludźmi. Operując środkami wielorakimi, bo sięgającymi do sztuki, literatury, poezji, jest zdolna

przemawiać nie tylko do umysłu, lecz również do wrażliwości, uczuć oraz intuicji i potęgować każdą z tych zdolności stykania się z codziennością.

Filozofia codzienności – tak jak widzę jej rozwój –powinna być także sumą szczerych refleksji i wyrażać to, co w nas umyka możliwości zracjonalizowania. Język filozoficzny powinien zostać dopełniony w niej przez język sztuki, poezji, literatury.

Arturowi Paruszewskiemu

Poszukiwanie literackich wzorów

Świadomość nieubłaganego kresu ludzkiego istnienia pozwala nie tylko przeżyć i zrozumieć radość wynikającą z istnienia w świecie, ale również skłania do zastanowienia się nad sensownością dokonywanych w życiu wyborów. Jak wynika z twórczości Tołstoja, którego dzieła literackie zawierają bogactwo przemyśleń filozoficznych, możliwe są następujące rozwiązania sytuacji naszego skazania na śmierć. Najłatwiej, jego zdaniem, radzą sobie z tym problemem kobiety. Pochłonięte macierzyństwem – do którego głównie sprowadza ten pisarz sens życia kobiet -w znacznym stopniu są nieświadome tej nieodwołalności śmierci. Słyszą o tym, ale ani nie zaprzatają sobie tym uwagi, ani nie budzi to w nich mocniejszych wzruszeń. Biologizm sprawia głębokie osadzenie w codzienności. Podobnie zresztą reagują młodzi ludzie, młodzi w sensie kalendarzowym, bowiem niedostatek wyobraźni sprawia, że w gruncie rzeczy nie wierzą w to – choć brzmi to absurdalnie że – będą kiedyś starzy i że nadejdzie moment śmierci.

Inne rozwiązanie cierpienia wynikającego z nieubłaganego kresu życia, to – zdaniem Tołstoja – korzystanie z rozkoszy, jakie ono niesie, by w jakby narkotycznym upojeniu odsuwać tę myśl w zakamarki świadomości. Oczywiście, niektórzy bohaterowie dzieł Tołstoja nie mogą się uporać z uczuciem bezradności i trwogi, którą niesie ze sobą wizja kresu istnienia. Zaś samobójstwo -bo i na taki czyn zdobywają się bohaterowie Tołstoja - stanowi dramatyczną próbę przyspieszenia tego, na co zostaliśmy skazani. Ono skraca mękę czekania.

Vercors w utworze „Oczy i światło” trafnie pisał, że rozpacz człowieka dotyczy tego, że nie jest Bogiem, a więc istotą nieśmiertelną, czy szatanem, bo ten również wiecznie egzystuje, ani nawet nieśmiertelną małpą. Trudno mi tylko zrozumieć, dlaczego tym marzeniom o wiecznym trwaniu tu na Ziemi pisarz ten zarzuca pychę.

Życie to znaczy myśleć nie tylko o doraźnym pożytku, o korzyściach, o wymiernych codziennych wartościach, lecz niezłomie starać się o urzeczywistnianie wartości, które uważa się za szczególnie cenne. Wymaga to dochodzenia do „nagiej prawdy”. Wymaga to przewyciężenia w sobie dążeń do postaw kompromisowych. Są one życiowo użyteczne, ale nie mogą przynieść trwałego zadowolenia z samego siebie. A chociaż możemy wyzwolić się od ocen, które wydają o nas inni, to znaczy nauczyć się odważnego istnienia na swój sposób, pozbawionego często aprobaty otoczenia, to jednak nie możemy nigdy wyzwolić się od własnych samoocen. A nie ma nic trudniejszego i bardziej destrukcyjnego niż nieustanny brak wewnętrznej harmonii.

Poszukiwanie wartości nie jest łatwe i jest wysiłkiem, który trzeba nieustannie ponawiać w swoim życiu. Odnajdywanie to wyraża się nie tylko w postaci rozmyślań, lecz musi zostać przełożone na język czynów. Właśnie dla bohaterów książki Saint-Exupery'ego działanie staje się nawet sposobem rozmyślania. Jego bohaterowie działając poznają prawdę, która szczególnie silnie pojawia się w obliczu śmierci. Lotnikowi zagraża w każdej chwili niebezpieczeństwo. A poza tym spogląda w sposób naturalny, z konieczności, na ludzi i życie na Ziemi, z pewnego oddalenia. I właśnie w walce z żywiołami oraz w przewyciężeniu trudności zdawałoby się niemożliwych do pokonania, objawia się ludzkie ja.

Inną drogą zmierza Brand, bohater dramatu Ibsena pod takim właśnie tytułem. Znajdując właściwą dla siebie ideę uwalnia się od uwikłań rodzinnych. Nie oszczędza ani bliskich, ani siebie. Wznosi wielkie dzieło. Nie uznając półśrodków, kompromisów, ginie w pogoni za

czymś absolutnym. I chociaż wydaje się to szaleństwem, to jednak życie innych, pozbawione owego wyższego wymiaru wydaje się miłą i puste. Okazuje się, że trzeba w życiu coś wybrać i czemuś oddać się bez reszty. Okazuje się, że nie można pozostawać tylko w kręgu wąskich egoistycznych interesów. W horyzoncie własnego życia trzeba nie tylko dostrzegać innych, ale coś dla nich czynić. Nie jest z tym sprzeczna radość doznań, by powołać tu wspaniałą literacki obraz Colas Breugnona.

„Nie można żyć, jak się nie ma kogo kochać” -powiada bohater powieści Ajara „Życie przed sobą”. I ma rację. Podobnie słynny aktor Anthony Quinn wyznaje w swojej autobiografii: „Kochać i być kochanym bez warunków – to dla mnie najwyższy cel”. Wiele takich wyznań słynnych postaci potwierdza potoczne przekonanie o potrzebie uczuć miłości.

Miłość to pojęcie o trudnej do zdefiniowania treści nie tylko dlatego, że skierowuje się w bogactwie odcieni ku komuś bądź czemuś i to z rozmaitym stopniem żarliwości. Trudno je określić jednoznacznie także i z tego powodu, że znane są rozmaite postacie miłości od życzliwości, poprzez sympatię, przyjaźń, chęć posiadania kogoś na własność, koleżeństwo, fascynację, poświęcenie się dla kogoś – aż do przyjaźni, która wszak też jest postacią miłości. Miłość erotyczną przeżywa się w szczególnie intensywny sposób, bo wiąże się z doznaniem zmysłowymi, przy czym, oczywiście, nie wszelkie doznania erotyczne wiążą się z miłością. Miłość erotyczna przewyższa poczucie osamotnienia wytwarzając stan przenikalności z drugim człowiekiem. Wytwarza poczucie sensu życia. Wzmaga odczucie własnej wartości w związku z przeżywaną akceptacją ze strony drugiego człowieka. Wzmacnia więc siły psychiczne, jak i witalne. Zmniejsza też lęk przed śmiercią. Ludzie sędziwi, zdolni do silnych przeżyć erotycznych i odważnie ich poszukujący bo najczęściej otoczenie ich krzywdzi szydząc z takich, rzekomo spóźnionych potrzeb – znajdują w nich ucieczkę przed niepokojem myśli o nadciągającym kresie życia.

Nie tylko proza, ale również poezja podpowiada, jak wyrażać uczucia do osoby, którą się kocha. Warto się nauczyć sposobu jej okazywania. Obrazy miłości powoływane do życia przez twórców są wyrazem bądź ich własnych doświadczeń, formą spowiedzi, artystycznie przetworzoną, bądź rejestracją obserwacji, bądź wyrazem tęsknoty ku czemuś, czego niejednokrotnie twórcy nie znajdują w swoim życiu.

Romain Rolland podkreśla w wielu powieściach, że nie można się obejść bez wzajemnego uczucia, jeżeli pragnie się mieć poczucie pełni istnienia, a jednocześnie trudno żyć bez niezależności. Jakże jednak pogodzić miłość i niezależność? Dagny Przybyszewska wrzuca do morza klejnot rodzinny, który znaczył dla niej wiele a poza tym wierzyła, że chroni ją przed nieszczęściem. Wrzuca klejnot, by dać dowód swojej miłości, a tego żądał od niej mąż. W ocenie Wincentego Lutosławskiego taka uległość zachciance Stanisława Przybyszewskiego prowadziła do roli manekina. Trudno rozstrzygnąć czy wartością bezwzględna ma być wolność, czy też uzależnienie od człowieka wyzwającego w nas miłość. Trudno, bowiem pełne zrozumienie, poczucie przenikalności z innym człowiekiem zdarza się chwilami jedynie, rzadko bywa stanem trwałym.

Wracając do Przybyszewskiego, wspaniale wyrażał miłość w swoich listach: „...Uniosę się ku samym niebiosom, uczynię wszystko, wszystko, wszystko! Ale muszę czuć, że ty mnie kochasz. Muszę obracać się w gorącej atmosferze twojej miłości, muszę wiedzieć, że ty mnie kochasz, muszę, muszę! Inaczej zginę, inaczej stoczę się w przepaść”.

Nie da się przeprowadzić linii demarkacyjnej między wspólną sprawą a indywidualnymi interesami. Każdy jest uwikłany w problemy zbiorowości. Jak żyć? Na to pytanie nie można znaleźć odpowiedzi w literaturze młodych pisarzy. Bohaterowie tych utworów żyją z reguły byle jak, z dnia na dzień. Pozbawieni są nie tylko pasji ku czemuś, ale również miłości do innego człowieka. A to sprawia, że bohaterowie tych książek są ubodzy. Literatura ta ilustruje więc ciemną stronę życia i nie pomaga w procesach kształtowania samego siebie.

Wiele krzywd spotyka tych, którzy mają odwagę żyć po swojemu i w świeży sposób

odczuwać miłość w późniejszym okresie życia. Grochowiak znakomicie wyraził w sztuce „Chłopcy” odmładzający sens uczuć miłości, które są zdolne wyzwalać dodatkową energię. Nie mniejsze trudności napotykają homoseksualiści. W błędnej opinii przeważającej części społeczeństwa jest to „zбочzenie”, przejaw jakiejś nienormalności. Znane są przypadki wypierania się dzieci przez, zdawałoby się światłych rodziców, gdy dowiadują się, że ich syn czy córka kocha kogoś tej samej płci. Ukrywać swoje potrzeby erotyczne muszą np. również transwestyci. Należy więc być zadowolonym, że ukazują się książki naruszające naszą drobnomieszczańską mentalność; jako przykład podam „Układ” Kazana czy „Kompleks Portnoya” Rotha.

Pojęcie miłości jest wieloznaczne również i dlatego, że różne bywają obiekty miłości: mężczyzna, rodzice, Bóg, ojczyzna, własne ja, wolność, określone wartości kulturowe, czy też życie jako takie. Tym ostatnim na przykład zachłyśnięta była bohaterka „Śniadanie u Tifaniego”, czy też bohater powieści Londona „Wilk morski”. Miłość do Boga, sięgając do innego przykładu, przenika „Wyznania” św. Augustyna. Klasycznym przykładem miłości do samego siebie jest Obłomow z powieści o takim tytule Gonczarowa. Z kolei miłość do kobiety w sposób wieloraki, barwny i głęboki wyraża, na przykład, Leśmian, pisząc zbiór „W malinowym chruśniaku”. Ukochanie wolności wyrażają autobiograficzne książki Simone de Beauvoire. Zdarza się często, że jakieś wartości świata kultury, a więc na przykład teatr czy muzyka stają się wartościami absolutnymi, wyższymi od miłości do kobiety.

Brak żywych wzorów do naśladowania skierowuje poszukiwania w kierunku wzorów literackich. Zresztą nie są one fikcyjne jeśli się zważy, że na ich kształt wpływają doświadczenia i przemyślenia pisarza. Nawet z powieści Rodziewiczówny, niemiłosiernie krytykowanej przez tak zwanych znawców literatury, można zaczerpnąć wzór człowieka kierującego się poczuciem obowiązku i czyniącego wiele dla innych. Artysta i pisarz wyrażają swoje indywidualne prawdy, ale mocą ponadprzeciętnej intuicji przedstawiają w swoich dziełach prawdy stające się prawdami czytelników.

Sentymenty

Stany uczuciowe odznaczają się różnym stopniem natężenia. W porównaniu z siłą namiętności i wywoływanymi przez nią uczuciami sentymenty objawiają się nam jako stany odległe od tak silnych uczuć. I tak jak to bywa z uczuciami, niepodobna wyjaśnić z jakiego powodu pojawiają się sentymenty. W każdym razie nie wiążą się one z reakcjami typu estetycznego, bowiem, na przykład, kundel nie wzbudzający dodatnich przeżyć estetycznych, może wzbudzić w nas sentyment.

Oczywiste też jest, że człowiek sentymentalny nie musi być zarazem człowiekiem o wysoko rozwiniętym poziomie uczuciowości. Ilustracją tej tezy niech będą współpracownicy Hitlera odznaczający się sentymentem do dzieci, zwierząt czy dzieł sztuki. Nie przeszkadzało to im w brutalnym urzeczywistnianiu teorii rasistowskich.

Brak sentymentów jest niepokojący. Jeśli ktoś jest pozbawiony takich wzruszeń, staje się ubogi psychicznie. Sentymenty bowiem wiążą nas nie tylko z drugim człowiekiem, ale również z krajem, ze zwierzętami, z przedmiotami, z tradycją kulturową.

Sięgając do biografii wybitnych twórców okazuje się, że sentymenty bywają bodźcem twórczości. One sprawiają, że tęsknimy do stron rodzinnych i bliskich krewnych, znanych nam z okresu dzieciństwa.

Sentymenty wzbudzają w nas często ci, z którymi wzrastaliśmy w dzieciństwie. Poczucie bezpieczeństwa doznawane wtedy, wzmacnia ten stan uczuciowy, który do nich żyjemy. Interesujące, że sentyment wywołują w naszej pamięci często zdarzenia z przeszłości całkowicie błahe. Myślę, że potęgują się one wraz z upływem czasu, gdy idealizujemy zdarzenia, które przeminęły. Sentyment wiąże nas z przeszłością i nadaje też bardziej wyrazisty sens naszej teraźniejszości. Sentymenty nie łączą nas z przyszłością. Budzą chęć powtórzenia raz jeszcze zdarzeń, które przeminęły.

Wśród wspomnień sentymentalnych powtarza się często nasze przywiązanie do miejsc dzieciństwa, w tym do podwórek, strychów czy zapachów potraw podawanych nam w rodzinnym domu. Pamięć zapachów charakterystycznych dla dni przedświątecznych i krzątania je poprzedzająca utrwała sentyment do Wielkanocy czy Bożego Narodzenia.

Trudnym przeżyciem bywa bliższe poznanie osób, które towarzyszyły nam w dzieciństwie. Pełne sentymentu przywiązanie bierze zazwyczaj górę nad rozczarowaniem, jeśli nie udaje się nam nawiązać bliższego porozumienia. Tak więc sentymenty mogą „prowadzić na manowce”, ranić, bo jak odwrócić się od kogoś wzniecającego sentymentalne wzruszenia nawet wtedy, gdy nie chce nas zaakceptować?

Natchnienie

Natchnienie to stan zmienionej świadomości. Charakteryzuje go zagłębienie się niemal wyłącznie w tym, co absorbuje w danym momencie. Mogą się pojawiać rodzaje snów na jawie, bądź przekształcone obrazy rzeczywistości. W stanie natchnienia następuje odkrywanie prawd, pojawiają się nowe pomysły. Jest to maksymalna koncentracja, zachodzi scalenie psychiki.

Natchnienie jest udziałem ludzi niepospolitych, szalonych w pozytywnym sensie tego słowa. Natchnienie to warunek powstawania wielkich dzieł, w tym również naukowych. Pojawia się ono nagle, ale bywa poprzedzane godzinami głębokich rozważań.

Natchnienie dochodzi do głosu w życiu ludzi twórczych, żarliwych, a więc niepospolitych. Tych, dla których najwyższą wartością nie są sprawy bytowo-rodzinne. Dla tych, którzy nie są gotowi w sensie ukształtowania się raz na zawsze, czyli zasklepienia. przeżywają ci, którzy odnoszą swoje istnienie do ideałów. Na tej drodze osiągają też – samopoznanie.

Natchnienie towarzyszy wysiłkom twórców rozmaitych dziedzin. Ale częściej towarzyszy twórczości artystycznej i literackiej, niż twórczości naukowej, w której dominują procesy intelektualne.

Natchnienie to szczególny rodzaj rozjaśnienia umysłu w rezultacie natężonej koncentracji. Wiąże się najściślej ze wzmożonym stanem uczuciowym. Jest to stan niewyrównany – a więc różny od tego, polecanego przez pedagogów.

Natchnienie świadczy o tym, że praca artysty i pisarza stanowi w dużym stopniu część jego samego. A jest poddawana krytycznej ocenie – bo ocenia się to, co powołuje do życia. Krytyk staje się więc sędzią dzieła i życia artysty i pisarza.

W stanie natchnienia – tego szczególnego uniesienia – objawia się wewnątrz artysty. Stan ten umożliwia wydalenie z siebie tego, co najbardziej osobiste. Stan natchnienia ujawnia wewnętrzne j a artysty bez żadnych osłonek; w sposób „nagi”. Jeśli artysta jest chory psychicznie, to owa nagość psychiczna jest głębsza w porównaniu z artystą tzw. zdrowym. Ten ostatni jest bowiem kępowany wiedzą o dziedzictwie kultury i znajomością obowiązujących prądów estetycznych.

Natchnienie, to siła zmuszająca do wychodzenia poza siebie – do wyrażania tego, co najgłębiej osobiste.

Wiąże się ono z tendencją do przekształceń – jest zaprzeczeniem stagnacji, bierności, pogodzenia się z tym co przeciętne. Jest wyrazem nienasycenia. W natchnieniu dochodzi w całej pełni do głosu nakaz Nietzschego: twórz krwią! Każdy z nas jest wewnętrznie rozdwojony. Jesteśmy bowiem takimi, jakimi udało się nam własną pracą ukształtować. Bywa, że jesteśmy takimi, jakimi być chcielibyśmy. Otóż natchnienie zbliża nas do stanu wyidealizowanego.

Natchnienie to wyraz metafizycznego niepokoju, rozterek, wątpliwości, poszukiwań. To stan, który wynosi ponad przeciętność, wzmaga poczucie sensu istnienia. Pozwala mocniej okrzepnąć we własnej prawdzie. Ale przynosi często -jako skutek – gdy przeminie, poczucie osamotnienia, obcości, odmienności w stosunku do rodziny, znajomych, którzy nie zaznali tego stanu.

Przeżycia natchnienia wzmagają potrzebę odnalezienia „bratniej duszy”, czy przynajmniej miłości erotycznej, która przynosząc zespolenie z drugim człowiekiem, pozwala zagłuszyć stan osamotnienia.

Artysta, pisarz, filozof – opętany własnym dziełem – doznaje nieraz stanów natchnienia. Trudniej jest aktorom, bo muszą się uczyć wywoływać w sobie natchnienie w godzinie spektaklu, jakby na zamówienie, by grać doskonalej.

Przyjaźń

Zawstydzające jest porównywanie stosunków międzyludzkich obecnych czasów-ze starożytnością, bowiem wierzymy w rozwój i doskonalenie się pokoleń. Tymczasem nastąpił wyraźny upadek wartości przyjaźni. My, współcześni nie umiemy się przyjaźnić. Nie chcemy podejmować tego trudu. Poza radościami, które niesie -wymaga wszak od nas czasami zrezygnowania z własnej wygody, niejednokrotnie aż do samozaparcia.

Arystoteles traktował przyjaźń jako podporę szczęścia człowieka. Epikur radził, by kontakty w społeczeństwie ograniczyć do kręgu przyjaciół, to jest grona osób podobnie myślących, a przede wszystkim podobnie reagujących na świat i ludzi. Taka bezpieczna oaza pozwala uniknąć wielu przykrości. Rozważania o przyjaźni dawnych myślicieli są warte przypomnienia i propagowania.

Związki, które na ogół obserwujemy, choć określane bywają mianem przyjaźni, w istocie rodzą się w wyniku wspólnych interesów czy też doraźnych użytecznych celów. Rozpadają się zaś, gdy te względy przestają odgrywać rolę. W rezultacie przyjaźń częściej obecnie występuje wśród clochardów czy „odrażających, brudnych, złych”, by odwołać się do tytułu znanego filmu włoskiego, rozgrywającego się w środowisku nędzarzy.

W kręgach tak zwanych wyższych panuje przekonanie, że przyjaźń rodzi się głównie w okresie szkolnym, jakby można było ustalić zależność stanów i więzi duchowych od liczby lat. Jeżeli już poszukiwać jakichś prawidłowości, to obserwacja podpowiada, że szuka się przyjaźni – doceniając jej wartość – gdy zawiodą kulturowane więzi rodzinne. Gdy na przykład odejdą z domu dzieci, które dorosły, czy mąż, po to, by założyć nową rodzinę. Wtedy wyraźnie czuje się pustkę wynikającą z braku oparcia w kimś, kto od lat towarzyszył nam i był świadkiem naszej drogi.

Zastanawiające, że przyjaźń częściej łączy ze sobą mężczyzn niż kobiety. Może jest tak dlatego, że miłość nie wypełnia mężczyzn na tyle bez reszty, by zanikała potrzeba przyjaźni. Kobiety są bardziej zaabsorbowane rodzeniem, wychowywaniem dzieci i codziennymi zajęciami. W okresach szczęścia w miłości czy udanego życia rodzinnego zanika u kobiet potrzeba przyjaźni. Natomiast nie zanika nigdy potrzeba zwierzenia się, co z przyjaźnią ma niewiele wspólnego.

W miłości nie wiemy, dlaczego ktoś wzbudza w nas to uczucie. Kochamy nieraz wbrew rozumowi, wbrew woli. Przyjaźń zalicza się do tych związków, dla których obojętna jest płeć, wiek, stanowisko w hierarchii społecznej, wykształcenie czy stopień zamożności. Pojawia się, gdy między dwiema jednostkami nawiązuje się bezinteresowny kontakt, gdy rodzi się poczucie „bratniej duszy”.

Przyjaźń – co sama odczuwam – pozwala przetrwać stany osamotnienia. Nawet wałęsający się po świecie Peer Gynt, bohater słynnego dramatu Ibsena, odnajduje wzmoczoną siłę dzięki mocy przyjaźni Solveigi. Zespolenie duchowe w przyjaźni pozwala zwiększyć stopień naszej wiedzy o sobie, a także pobudzić drzemiące w nas możliwości. Znakomity obraz tej zależności zawarł Romain Rolland w powieści „Jan Krzysztof”.

Przyjaźń to trwały punkt odniesienia w różnorodnym i przeobrażającym się świecie. My też podlegamy przemianom i taki trwały punkt odniesienia jest dla nas bardzo istotnym oparciem. Dzięki pamięci tego, kto towarzyszy naszej drodze zmieniającego się życia -mamy

możliwość powracania do siebie sprzed lat.

Przyjaciół bywa naszym lustrem. Pozwala na identyfikację siebie dzisiejszego ze sobą dawnym. A czuć się potrzebnym choćby jednemu człowiekowi – to znaczy istnieć radośnie. Dramatyczne w swym osamotnieniu są sędziwe osoby wyczekujące nadaremnie przyjaznego znaku od kogoś.

Przyjaźń wyrywa nas z postawy obserwatora wobec drugiego człowieka. Zmusza do podejmowania czynów. Afirmacja, którą niesie ze sobą, może stymulować nawet biologicznie. Na pewno nie powinno się spoglądać na przyjaciela jak ogrodnik na jabłko w sadzie, który czeka, aż ono samo dojrzeje. Zbyt często – myślę -pozwalamy owijać jabłko słomą, zamiast grzać je własnymi rękami.

Różnorodne bywają postaci przyjaźni. Od zawiązywanych w momentach krytycznych – na wojnie, w obozie, w czasie prześladowań – do przyjaźni wyrażających się pomocą w codziennych trudach. Bywają też niezmiernie silne związki przyjaźni oparte na wspólnych czynach mających na celu urzeczywistnianie wyznawanych ideałów. Zdarzają się też więzi przyjaźni, które sprowadzają się głównie do zwierzeń z najbardziej intymnych wzruszeń. Zresztą stosunek między pacjentem a psychoterapeutą zawiera między innymi również elementy przyjaźni. Znana też jest przyjaźń listowna, głęboka i mająca wyraźny oddźwięk, na przykład, w życiu i twórczości Tadeusza Bairda i Haliny Poświatowskiej.

W czasach dawniejszych istniała instytucja przyjaciół domu. Nie byli oni „naczyniami” do wylewania zwierzeń. Same ich odwiedziny były momentem odświętnym i pobudzającym. W taki sposób również wzrastała tradycja. I dziś trzeba właśnie odbudowywać bezinteresowne więzi przyjaźni nawet z powodów egoistycznych; by mieć wzmożone poczucie sensu życia oraz poczucie bezpieczeństwa ze świadomością lojalności drugiego człowieka.

Lustra

Ci, którzy przeglądają się w innych jak w lustrach, nie mają odwagi podejmować wielu działań, łącznie z zaliczanymi powszechnie do mniej ważnych. Towarzyszy im lęk śmieszności; niepewność reakcji innych ludzi działa hamująco.

Ludzie o niskiej kulturze osobistej są niewłaściwymi „lustrami”. Śmieją się, gdy ktoś odróżnia się od tego, co przeciętne. Tańczące ze sobą kobiety – by odwołać się do takiego przykładu – pozostają jeszcze w sferze akceptacji obyczajowej, podobnie jak ich czułe publiczne pocałunki. Ale mężczyznom tego nie wolno. Obyczajowość nie pozwala im u nas obejmować się w miejscach publicznych. Podobnie na ironiczne uśmiešky skazywani są ludzie sędziwi, gdy zdarzy im się pojawić na dancingu. Europa ze swoim kultem biologicznej młodości jest duchowo pusta w zestawieniu z azjatyckim stosunkiem do ludzi sędziwych.

W lustrze lubią się przeglądać kobiety, ale czy widzą w nim siebie? Nie znaczy to, by mężczyźni unikali luster. Ale i oni często widzą w nich wyobrażone własne odbicie. Rzadko natomiast szukamy w lustrach odbicia cudzych twarzy. One nas zbyt mało interesują. Znamionuje nas egocentryzm, aczkolwiek zbyt często odżegnujemy się od niego. Trudno nie głosić pochwały mądrego egocentryzmu – czyli obejmującego w polu widzenia innych ludzi – skoro każdy stanowi dla siebie ostateczny punkt oparcia. Rodzina, a nawet ci, których uważaliśmy za przyjaciół, często zawodzą.

Boimy się ujrzeć w lustrze własne odbicie. Boimy się, bo przecież lustra, zdarza się, pokazują nam pewne prawdy w zbliżeniu, zdarza się, że powiększają i nie można też zapominać o krzywych zwierciadłach. Sami dla siebie też jesteśmy lustrem i to nieraz odkształcającym. Ale w jakim kierunku?

Lustra zmieniają punkt widzenia. I perspektywę, w której widzimy niektóre zjawiska. Mogą wpływać katalizujące, bowiem nieoczekiwanie w nowy sposób widzimy to, co wydawało się znane.

Zbliżenie się do prawdy o nas samych jest procesem nieskończonym. Inaczej widzimy siebie, gdy „lustrem” jest kochanka. A jeszcze inny obraz nas samych ukazuje nam ten, z kim wiąże nas przyjaźń.

Lustrem może być również twórczość artystyczna. Tak wiele wszak biografowie dowiadują się o psychice pisarza czy artysty analizując jego dzieła.

Wczuwać się w stan psychiczny innego człowieka i rozumieć go można tym łatwiej, im bogatszy ma się zapas własnych doświadczeń i przemyśleń. Duża wrażliwość oraz intuicja pełnią tu istotną rolę. Zapewne potrzebna jest też świeżość odczuwania po to, by trafnie odczytać drugiego człowieka i nie wślaczać go we własne schematy. Wgląd emocjonalno-intelektualny w innego człowieka, to nie tylko rodzaj pełniejszego poznawania ludzi, ale również samego siebie. Stając się jakby drugim człowiekiem i z jego punktu widzenia spoglądając na świat w dalszym ciągu pozostajemy sobą.

Nasz stosunek do innych ludzi można objąć skalą od egoizmu oraz egocentryzmu do empatii. Ta ostatnia jest czymś więcej niż życzliwością i sympatią. Polega nie tylko na umiejętności zrozumienia kogoś, lecz na wnikięciu w wewnętrzny świat rozmówcy bez ferowania ocen. Empatia wiąże się ze zdolnością postawienia siebie w sytuacji kogoś drugiego. Stanowi subtelne przeniknięcie do wewnątrz czyjegoś świata. Empatia prowadzi do uświadomienia tego, że współodczuwanie bywa istotniejsze dla porozumienia się z kimś innym od współrozumienia. Krasiński podkreślał, że stanem upragnionym jest identyfikacja

siebie z innym człowiekiem.

Do empatii są zdolne jednostki o wysokim stopniu rozwoju uczuciowego, jak również obdarzone wysoką wrażliwością i wyobraźnią. Empatia ułatwia porozumienie, bowiem jest kontaktem wzbogaconym o całą pozasłowność. Empatia sprzyja wyzbywaniu się uprzedzeń. Poznanie na drodze empatii sytuacji, którą ocenialibyśmy jako naganną, pozwala nieraz zweryfikować własne poglądy. Pozwala wykroczyć poza nawyki myślowe. Mniej byłoby w nas dulszczyzny i więcej tolerancji dla wyborów dokonywanych przez innych, gdyby dało się zwiększyć wzajemną empatię.

Empatia, to zdolność postrzegania zjawisk z perspektywy drugiego człowieka. Wiąże się więc ze świadomością, że uczucia innych ludzi różnią się od naszych i że należy traktować bliźnich z szacunkiem dla ich indywidualnej odmienności. Postawa empatyczna stanowi zaprzeczenie postawy odznaczającej się egocentryzmem, egoizmem i egotyzmem. Budzi szacunek dla tego, co w innych odczuwamy jako odmienne i rodzi postawę tolerancji. Wynika też z postawy empatycznej traktowanie innych ludzi jako – używając terminologii kantowskiej – celów samych w sobie nie zaś środków mających nas doprowadzić do określonego wyniku. Pluralizm w społeczeństwie znajduje swój grunt w postawach empatycznych wykluczających dążność podporządkowywania sobie poglądów na świat innych ludzi.

Zagadnienie empatii wiąże się nie tylko ze sprawą stosunku do innego człowieka i samego siebie, nie tylko z zagadnieniem procesu rozwojowego, ale również ma znaczenie praktyczne w terapii oraz nauczaniu. Empatia powinna stanowić ważny składnik cech indywidualnych nauczycieli, księży, psychoterapeutów, lekarzy. Prowadzi to do wniosku oczywistego, aczkolwiek zapomnianego, że o wykonywaniu jakiegoś zawodu powinny decydować nie tylko czynniki formalne, czyli posiadana wiedza w jakimś zakresie, ale i w nie mniejszym stopniu – powołanie do zawodu. Budując w sobie postawę empatyczną w stosunku do innych – zyskuje się na tej drodze sposób istnienia daleki od stagnacji i stereotypowości. Istnieje się dzięki empatii w twórczy sposób.

Skoncentrowałam uwagę na empatii, bo jest ona wyrazem lustra najmniej zniekształcającego, przyjaznego, docierającego do istoty człowieka. Jest lustrem, które pomaga – poprzez kogoś – głębiej dotrzeć do siebie.

Dla wielu kobiet lustrem staje się mężczyzna. I taka niewolnicza zależność, bo przepojona troską „czy mu się wciąż podobam” przytłacza, niszczy, deprymuje. Przekonanie o tym, że kobieta jest kimś samodzielnym i że płeć nie ma nic wspólnego z budowaniem w sobie człowieczeństwa jest nowe, pojawia się dopiero pod koniec XIX wieku.

W dalszym ciągu funkcjonuje określenie „matka Polka”. Zawiera w sobie balast tego sposobu myślenia, który dotrwał do obecnych czasów. Kobieta nie może, a nawet nie powinna, rozwijać swoich właściwości indywidualnych – według anachronicznych ale silnych wciąż współcześnie poglądów – ponieważ jest tylko dodatkiem do mężczyzny i wychowawczynią kolejnych pokoleń. Ruch emancypacyjny, zrodzony w końcu XIX wieku, objął przecież bardzo niewielkie kręgi.

Nawet w okresie 20-lecia międzywojennego były zawody zarezerwowane wyłącznie dla mężczyzn.

Żyjemy w kulturze, w której wartości ustanawiane są przez mężczyzn. I one dominują. Jeżeli już kobiety zdobywają się na samodzielność, rekrutują się głównie z dwóch grup: robotnic albo kobiet zajmujących się zawodami twórczymi. Jest to zatem pewien margines.

Niestety, stwierdzenie, że obecnie w Polsce zachodzi odwrót od procesów emancypacyjnych, nie jest wynikiem odbicia w krzywym zwierciadle. Znowu bardzo wyraźnie wskazuje się, iż zadaniem i rolą kobiety jest wypełnianie funkcji biologicznych. Kobieta ma siedzieć w domu, gotować, sprzątać, opiekować się potomstwem i milczeć. Zresztą i tak ma niewiele do powiedzenia w życiu zawodowym, gdyż bezrobocie głównie jej dotyczy. Mając

nawet takie same kwalifikacje, rzadko zajmuje eksponowane stanowiska i zarabia o wiele mniej. Trudno więc mówić tu o jakiegokolwiek równości płci.

Nowym zjawiskiem stał się wzorzec kobiety bizneswoman. Przeglądanie się w tym wzorze do naśladowania sprawia, że wiele kobiet traci wiarę w swoje możliwości. I zamyka się jeszcze bardziej w kręgu życia rodzinnego. Trudniejsza staje się natomiast sytuacja kobiet żyjących samotnie; brak im majątku dla rozpoczęcia biznesu, brak im sprytu życiowego i dookoła widzą inny, rodzinny obraz życia kobiet – im również niedostępny. Rodzina powinna być jednym z elementów w życiu, a nie wartością nadrzędną.

Najwyższymi wartościami w życiu człowieka, bez względu na płeć, powinny być wartości kulturowe. Świat przyrody, który jest wspólny roślinom, zwierzętom i człowiekowi, pozostaje poza problemem świata wartości. Nasze człowieczeństwo zaczynamy budować, gdy w grę wchodzi wartości wyższe, ideały. Wkraczamy tym samym w świat kultury. Kobieta jest człowiekiem i taki cel jej istnienia powinien być zaszczerpiony.

Niezgoda na przemijanie

Nie jest to przypadek, że chętnie oglądamy seriale telewizyjne, czy z zainteresowaniem czekamy na dalszy ciąg dopisanych powieści, często już przez innego autora, by wymienić przykładowo „Przeminęło z wiatrem”. Wyraża się w tym nasza niechęć do przemijania, do rozstawania się z bohaterami, do których przywiązaliśmy się, którzy wzbudzają w nas sentyment.

Niezgoda na przemijanie przybiera postać oczekiwania, że to, co zachodzi obecnie, będzie miało swoją kontynuację. Zdarza się często, że nie mogąc doczekać się rozwoju oczekiwanych zdarzeń, dopisujemy ich ciąg dalszy w naszej pamięci. Wtedy rozgrywa się bieg wypadków w świecie pozornym. Trzeba pamiętać o tym, że taka ułudą może nabierać pozoru faktów rzeczywistych.

Trudno pogodzić się, gdy przemija stan szczęścia. Wtedy rodzą się marzenia i na przykład niejeden aktor w nich jedynie przeżywa dalszy ciąg swoich sukcesów na scenie. Takie zastępcze marzenia o szczęściu zdarzają się nie tylko, jakby to się kiedyś określiło, w miłości pensjonarek. Niejedna dorosła kobieta czyta chętnie romanse, by w nich odnaleźć to, czego brakuje w faktach codziennych jej życia.

Z różnych powodów przeżywamy dalszy ciąg zdarzeń w świecie pozornym. Zdarza się, że brak odwagi skłania nas do bierności, a rozwój wypadków wymaga na ogół naszego zaangażowania. Jestem przekonana, że niejeden raz urwanie się czegoś, co dokonywało się w naszym życiu, było wynikiem lęku przed reakcją drugiego człowieka. Onieśmielająca niepewność płynąca z niepokoju „co on – czy ona – sobie o mnie pomyśli?” działa paralizująco. A tak wiele zależy od siły naszych chęci i odwagi „robienia kroku” w kierunku innego człowieka. Zbyt często mijamy się, a moglibyśmy zatrzymać się na dłużej, zyskując wzajemnie psychiczne korzyści.

Brak wiary w siebie i nieufność wobec drugiego prowadzą do chłodu w kontaktach człowiek-człowiek. Wzrastając tłumimy zbyt często naszą spontaniczność, szczerłość, ufność. Bywamy niezadowoleni z siebie, co jest niesłuszne, gdy ktoś wzbudza w nas stan egzaltacji.

Być może chęć zatrzymania zdarzeń, sytuacji, więzi z określonymi osobami ma źródło w naszych przyzwyczajeniach. To, co poznane, staje się oswojone i jeśli nawet ciąży nam, to mocą bezwładu staramy się to utrzymać. Przyzwyczajenia mają źródło w naszym wygodnictwie. Oczekując biernie na dalszy rozwój wypadków, również zbyt biernie godzimy się z ich przemijaniem. Czasem jedyną formą protestu staje się wędrowka do wróżki.

Kontynuacja tego, co ma dla nas znaczenie, dochodzi do skutku łatwiej, gdy umiemy tego pragnąć – mówiąc inaczej – koncentrować energię psychofizyczną na tym, co ma trwać dalej. Nie wystarczy tylko deklaracja. Spotkanie z wróżką może podziałać destrukcyjnie, jeśli usłyszymy wiadomości nieprzyjemne. Utrwaliła mi się w pamięci, jako przestroga, postać czterdziestoletniego geografa, któremu przed laty wróżka przepowiedziała śmierć, gdy skończy dwadzieścia osiem lat. Ta wizja kresu zaciążyła na jego życiu doprowadzając go do ciężkiej choroby serca. Gdy go poznałam, czekał od dwudziestu lat na odejście z tego świata.

A gdy mowa o śmierci, to na pewno marzenie o nieśmiertelności – dotyczy przede wszystkim naszego istnienia tu na Ziemi. Pragnienie nieśmiertelności przenika nawet nieświadomie nasze poczynania, bywa zarzewiem ludzkiego wysiłku. W gruncie rzeczy jesteśmy niekonsekwentni. Bowiem zbyt mały wysiłek wkładamy w troskę o zdrowie i za mało koncentrują się uczeni na przedłużeniu ludzkiego życia. Pragnienie nieśmiertelności

dochodzi najjaskrawiej do głosu w teoriach reinkarnacji, które zapewniają wierzących, że po śmierci wrócą tu ponownie, aczkolwiek w innym ciele. Decyzja wąskiego kręgu ludzi bogatych, by za życia poddać się hibernacji, wiąże się z nadzieją, że odmrożeni po latach, w warunkach udoskonalonej wiedzy medycznej, będą mogli na nowo rozpocząć istnienie na Ziemi. Wyrazem pragnienia wiecznego trwania jest tworzenie dzieł kulturowych w przekonaniu ich trwałości. Również pozostawienie śladu własnego ja w życiu czy chociaż w pamięci drugiego człowieka to wyraz przedłużenia swojego istnienia. Trwa ono bowiem tak długo, póki istniejemy w czyichś wspomnieniach. I niejedną raz się zdarza, że ktoś istnieje jako żywy po swojej śmierci w pamięci nie poinformowanych o pogrzebie.

Przejmująca chęć dalszego ciągu działań i wypadków, w których uczestniczymy, splata się nieraz z niepokojem o nieznaną przyszłość. „Dal mnie wzywa” -woła jedna z postaci dramatu Szaniawskiego p.t. „Kowal, gwiazdy i pieniądze”. Dal, niepewność tego co może nastąpić, niepokój czy sprostą temu, co nadejdzie i jednocześnie chęć przeżycia czegoś, co wyrывa z powtarzających się zdarzeń.

Szczególny rodzaj oczekiwań dalszego ciągu tego, co jest, zawiera w sobie stosunek rodziców do dzieci. Poczucie niespełnienia czegoś ważnego we własnym życiu bardzo wiele osób pragnie zaspokoić w życiu swoich dzieci. Dochodzi w ten sposób do głosu częsta w Europie kontynuacja zastępcza. Nie jest to odosobniony przypadek, gdy ktoś w pełni sił zarzuca swe pragnienia i marzenia – oczekując, że spełnią je córka lub syn. Pomijam skomplikowaną sytuację dzieci popychanych, a nieraz nawet terroryzowanych, by realizowali oczekiwania rodziców, zamiast własnej drogi życiowej. Tu pragnę podkreślić, że rezygnacja z samorealizacji jest wielką krzywdą dla danej jednostki. Taka postawa to źródło przedwczesnej starości psychicznej. To wyraz klęski, słabości, bierności i w gruncie rzeczy wygody. Nie jest to też droga, która prowadzi do znalezienia sensu własnego istnienia. Urzeczywistnienie marzeń własnych przez kogoś bliskiego nie może wypełnić pustki naszego życia. A ponadto ci, którzy kontynuują wysiłki bliskich, często czynią to w oddaleniu psychicznym. I nie zawsze pozostają trwałe dwustronne więzi uczuciowe. Stąd gorycz zamiast radości.

Gdy mowa o kontynuacji, to warto wziąć pod uwagę, że dążenie do celu, jaki sobie wytknęliśmy, cieszy nieraz głębiej, niż moment, w którym się on ziści. Spełnienie oczekiwań niekiedy przynosi rozczarowania. Dlaczego tak jest? Spełnienie oczekiwań nie bywa częste, a gdy nadchodzi, pozostaje na ogół spóźnione w stosunku do natężonego momentu oczekiwania. Innymi słowy, to, na co czekamy, często nie nadchodzi wtedy, gdy najgoręcej tego pragniemy. Niespełnienie przynosi wprawdzie cierpienie, ale nie stawia nas w bolesnej sytuacji zderzenia wyobrażeń i oczekiwań z rzeczywistością faktów.

Korekta: Małgorzata Szymańska